

Autobiografia

Benamina Franklina

Tłumaczenie z oryginalnego
manuskryptu Benamina Franklina,
za porównaniem treści w edycji
Johna Bigelow: Teresa Pelka

2022

Copyright

Przekład na język polski i wydanie

© Teresa Pelka, 2022

Standard Copyright

Standardowe prawo autorskie

ISBN 9798849191911

Public Domain Translation

publicdomaintranslation.com

W domenie publicznej:

- fotograficzny materiał oryginalny uzyskany drogą elektroniczną z Huntington Library

<https://hdl.huntington.org/digital/collection/p15150coll7/id/4>

- format PDF wraz z linkiem do edycji Johna Bigelow spójny w całej rozciągłości z powyższym, na moim koncie w Internet Archive:

<https://archive.org/details/@teresapelka>

Treść

<i>Życie Benjamina Franklina</i>	7
<i>Część I</i>	9
<i>Część II</i>	97
<i>Część III</i>	117
<i>Część IV</i>	213
<i>Dodatek 1. Listy</i>	219
<i>Dodatek 2. Ogłoszenia</i>	229

Notka tłumaczki

Interpunkcja czy też przestankowanie jest wyjaśniane we wpisie „Zaburzenie kommatoformowe” (po angielsku “The commatoform disorder”) na mojej stronie internetowej.

Językowi polskiemu nadano nowy kanon interpunkcji, który lepiej czy gorzej, ale w miarę działa z cywiką USA, lub tekstami jak *Zdrowy rozsądek* Tomasza Paine. Obydwa te rodzaje pisemnej materii mają w stylu tę oto wspólną cechę: prowadzą argument do celu. W jednej przedmiotem jest samookreślenie i prawodawstwo, druga to polityczny pamflet.

Człowiek jednak „nie ubiera się prywatnie jak na publiczny bal”; natomiast Benjamin Franklin zwraca się do swego syna, rozpoczynając wspomnienia, a tłumaczenie nie może tu nadać stylu jak dla konstytucyjnego artykułu, czy traktatu o politycznej racji. Zapraszam,

■→teresapelkainpolish.com/zaburzeniekommatoformowe;

■→teresapelka.com/thecommatoformdisorder.

Życie Benjamina Franklina

Opisane przez niego samego

Jedyny manuskrypt jego ręką cały sporządzony

Doktor Franklin, kiedy był ambasadorem we Francji, blisko znał się z panem Le Veillard, *gentilhomme ordinaire du Roi*, swym sąsiadem w Passy pod Paryżem. Przedstawił temu przyjacielowi na czysto przepisany egzemplarz wspomnień ze swego życia.

Kiedy William Temple Franklin, wnuk doktora Franklina, przyjechał do Europy w celu opublikowania prac swego znanego dziada, zwrócił się do pani Le Veillard (pan Le Veillard przepadł na rewolucyjnym szafocie) o ową poprawioną i czystą kopię, swego czasu przez jego dziada przedstawioną, jako wygodniejszą dla drukarza. „Jeżeli ją panu dam, nic mi po naszym przyjacielu nie pozostanie”. „Dam pani w to miejsce oryginalny manuskrypt mojego dziadka”.

W ten oto sposób jedyny oryginalny manuskrypt przeszedł drogą spadku w ręce pana de Senarmont, potomka pana Le Veillard.

Część I

Manuskrypt

Strona 1

Drogi synu, zawsze lubilem znajdować historyjki o moich przodkach. Pamiętasz może moje poszukiwania pośród pamiątek po krewnych, jak byłeś ze mną w Anglii, oraz podróż jaką po temu urządziłem. Wyobrażam sobie, ty podobnie miałbyś przyjemność zapoznać się z moimi życiowymi okolicznościami, o których wiele jeszcze nie wiesz, a że się spodziewam przyjemnego, całego tygodnia nieprzerwanego wypoczynku w moim obecnym wiejskim oddaleniu, siadam je dla ciebie spisać. Mam po temu także inne zachęty. Wyrosłem ponad niedobór środków i nauki, w jakim się urodziłem i wychowywałem, do zamożnego stanu i w świecie pewnej reputacji, a zaszedłszy tak daleko w życiu w znacznej mierze szczęśliwym, myślę, moi potomni mogą mieć chęć poznać te z moich sposobów, które z bożym błogosławieństwem przyniosły dobry skutek, bo jeśli zdolne się przydać w ich własnych okolicznościach, będą warte naśladowania.

Poczucie osobistego szczęścia, jak je brałem na rozum, sprawiło czasem że powiedziałem, jak by mi dano wybór, nie wahałbym się i miał takiego samego życia powtórkę, od początku, prosząc jedynie o tą autorską korzyść jak przy drugiej edycji książki co daje poprawić pewne wady pierwszej. Mógłbym wtedy nie tylko naprawić wady, ale i zmienić niektóre ponure wydarzenia oraz dla innych osób skutki na bardziej przychylne. A nawet jak by mi tego nie

dano, jednak bym się zdecydował. Jako że takiej powtórki nie należy się spodziewać, najbliższe ponownemu przeżywaniu swojego życia zdaje się jego wspomnianie, w formie jak najtrwalszej, czyli w piśmie.

Dogodzę też tutaj tej skłonności tak naturalnej u ludzi starszych, aby mówić o sobie i swoich przeszłych działaniach; a zrobię to bez naprzykrzania się innym, gdyż do słuchania mogliby myśleć, są zobowiązani szacunkiem dla wieku, a zapiski można sobie czytać albo nie, jak wola. Na koniec (do czego się mogę równie dobrze przyznać, bo przeczeniu by nikt i tak nie uwierzył), może i dość zadowolę swą *próżność*. Doprawdy rzadko się mi zdarzyło usłyszeć lub zobaczyć w ramach wstępu słowa jak „*Bez próżności mogę powiedzieć*” czy podobne, bez czegoś próżnego zaraz potem. Większość ludzi nie lubi próżności u innych, jakąkolwiek sami w sobie mają, ale ja oddaję jej szczerze uznanie wszędzie gdzie napotykam, przekonany iż często przynosi dobro swemu gospodarzowi, a też innym osobom w sferze jego działań. Takóż nieraz nie byłoby człowiekowi absurdem dziękować Bogu za swą *próżność*, pomiędzy innymi zaletami życia.

Gdy teraz mowa o dziękowaniu Bogu, z całą skromnością pragnę zaświadczyć, iż wspomniane tu moje dotychczasowe poczucie szczęścia zawdzięczam Jego łaskawej Opatrzności, która wskazała mi sposoby i sprawiła ich powodzenie. Wiara ta skłania mnie do *nadziei*, choć mi z *góry zakładać* nie wolno, iż to samo dobro dalej będzie moim udziałem, bądź szczęście nadal przynosząc, bądź dając siłę

przy jakiejś fatalnej zmianie, czego może przyjść mi doznawać, jak już innym ludziom bywało: kształt mojego przyszłego losu zna tylko On, który ma moc uświęcać nawet nasze niedole.

Jeden z wujów wręczył mi kiedyś notatki (był ciekaw rodzinnych opowieści jak ja), a te dostarczyły mi nieco szczegółów o naszych przodkach. Dowiedziałem się z tych notek, rodzina żyła w tej samej wiosce, Ecton w Northamptonshire, przez przynajmniej trzysta lat, a ile jeszcze przedtem, nie wiedział (może i od czasu kiedy imię Franklin, jak wołano pewnego charakteru ludzi, wzięto na nazwisko gdy wszyscy w królestwie nazwiska przyjmowali), na wolnym gospodarstwie o jakichś trzydziestu akrach, podpartym kowalskim biznesem, który kontynuowali w rodzinie do czasów owego wuja, a przyuczano zawsze najstarszego syna; i on, i mój ojciec, zachowali ten zwyczaj względem swych najstarszych synów. Przeszukałem rejestry w Ecton i znalazłem zapisy ich urodzin, małżeństw i pogrzebów, ale tylko od roku 1555, jako że żadnych rejestrów z czasów wcześniejszych w owej parafii nie trzymano. Spostrzegłem po tych zapisach, miałem imię najmłodszego syna najmłodszego syna od pięciu pokoleń. Mój dziadek Thomas urodził się w roku 1598, mieszkał w Ecton aż się stał do pracy w biznesie za stary, kiedy to poszedł mieszkać ze swoim synem Johnem, farbiarzem w Banbury, Oxfordshire, gdzie mój ojciec był uczniem. Tam ów dziadek zmarł i leży pochowany. Widzieliśmy jego grób w 1758. Jego najstarszy syn Thomas mieszkał w domu w Ecton, a zostawił go razem z ziemią jedynemu

dziecku, córce, która z mężem, niejakim Fisherem z Wellingborough, sprzedała go panu Isted, teraz tam właścicielowi. Mój dziadek dochował się czterech synów, mianowicie Thomasa, Johna, Benjamina i Josiaha. Przekażę ci o nich co wiem tutaj z papierów, a jeśli się pod moją nieobecność nie zawieruszą, sam w nich znajdziesz wiele więcej szczegółów.

Thomas był wychowywany na kowala przez swojego ojca, a że był bystry i zachęcany do nauki (jak wszyscy moi bracia) przez mości Palmera, wtedy znamienitego w parafii dżentelmana, wyszkolił się na skryptora i stał znaczną w powiecie postacią, głównym organizatorem wszelkich przedsięwzięć na rzecz publiczną w mieście, zarówno jak powiecie Northampton, tudzież w jego własnej wiosce, gdzie kojarzono z jego osobą wiele wydarzeń, a cenił je i objął patronatem ówczesny Lord Halifax. Thomas zmarł w starym stylu, 6 stycznia roku 1702, na cztery tylko lata zanim urodziłem się ja. Pamiętam, kiedy niektórzy starsi ludzie w Ecton wspominali jego życie i charakter, uderzyło cię jakieś niezwykle podobieństwo z tym, co wiedziałeś o mnie. „Gdyby umarł był tego samego dnia”, powiedziałaś, „można by myśleć niemal o transmigracji”.

Johna wychowano na farbiarza, jak wierzę, materiałów wełnianych. Benjamina kształcono w domu na farbiarza jedwabiu, do czego odbył praktykę w Londynie. On też był byстрыm mężczyzną. Pamiętam go dobrze, bo przyjechał do mojego ojca do Bostonu jak byłem chłopcem i mieszkał z nami w domu przez parę lat. Dożył wspaniałego wieku. Jego wnuk Samuel Franklin mieszka w Bostonie i teraz. Benjamin

zostawił po sobie dwa woluminy kwarto swej poezji, głównie krótkie okazyjne utwory do przyjaciół i rodziny, czego tutaj załączam przesłaną mi kiedyś próbkę. Utworzył swoją własną stenotypię, której mnie uczył, ale że jej nigdy nie używałem, już jej teraz nie pamiętam. Moje imię dostałem po tym wuju, gdyż była między nim a moim ojcem szczególna zażyłość. Był bardzo pobożny, i słuchacz jakich mało, kazań najlepszych kaznodziei, które zapisywał w tej swojej stenotypii, a zebrał ich i trzymał u siebie wiele woluminów. Miał też w sobie dużo z polityka, może za dużo, jak na jego położenie. Ostatnio wpadła w moje ręce w Londynie zebrana przez niego kolekcja najważniejszych pamfletów o sprawach publicznych, od roku 1641 do 1717; jak popatrzyć na numerację, wiele z nich zaginęło, ale nadal pozostaje osiem tomów folio oraz dwadzieścia cztery kwarto i oktawo. Natrafił na nie pewien kupiec starych książek, a że mnie znał, bo od czasu do czasu u niego kupowałem, to mi je zaoferował. Zdaje się, mój wuj pozostawił je tam wyjeżdżając do Ameryki, a to było ponad pięćdziesiąt lat wcześniej. Na marginesach zapisane są jego liczne notatki.

Ta nasza z zamierzchłych czasów rodzina wcześniej dołączyła do Reformacji i pozostała protestancka za panowania królowej Marii, kiedy to groziły im czasem problemy tytułem ich entuzjazmu przeciwko papieżowi. Dostali gdzieś Biblię po angielsku, a żeby ją bezpiecznie ukryć, umocowali taśmami pod wierzchem rozkładanego stołka. Kiedy ją czytał dla rodziny, mój prapradziad obracał stołek na kolanach, a strony przewracał pod taśmami. Jedno z dzieci stało przy

drzwiach, przestrzec jak by się pojawił woźny, a wtedy byli to urzędnicy duchownego sądu. W takich wypadkach stołek obracało się z powrotem na nogi, a Biblia pozostawała w nim schowana jak zawsze. Dostałem tę opowiastkę właśnie od tego wuja Benjamina. Rodzina podtrzymywała obrządek Kościoła Anglii mniej więcej do końca panowania Karola Drugiego, a kiedy niektórzy pastory zostali wyrzuceni za nonkonformizm i organizowanie w Northamptonshire konwentykli, Benjamin i Josiah przy nich obstawali i trwali tak przez całe życie. Reszta rodziny trzymała się kościoła episkopalnego.

Mój ojciec Josiah ożenił się młodo i około 1682 roku przywiózł do Nowej Anglii żonę z trojgiem dzieci. Konwentykle zostały zabronione prawem i często je zakłócano, co skłoniło znaczniejszych z jego znajomych do przenosin do nowego kraju; a przekonali go by do nich tutaj dołączył, gdzie się spodziewali cieszyć swoim religijnym porządkiem w wolności. Z tą samą żoną miał dalszych czworo dzieci, a z drugą dziesięcioro więcej, razem siedemnaścioro; pamiętam, kiedyś trzynaścioro zasiadło przy jednym stole, wyrosli już na mężczyzn i kobiety, zawarli związki małżeńskie. Ja byłem najmłodszym synem, a dzieckiem najmłodszym z wyjątkiem dwojga, urodzony w Bostonie, w Nowej Anglii. Moją matką, drugą żoną ojca, była Abiah Folger, córka Petera Folgera, jednego z pierwszych osadników w Nowej Anglii, o którym Cotton Mather w swej historii kościoła tego kraju, zatytułowanej *Magnalia Christi Americana*, dokonuje z szacunkiem wzmianki jako „*bogobojnym, uczonym człowieku z Anglii*”, o ile dobrze owe

słowa pamiętam. Słyszałem, Peter pisywał od okazji rozmaite krótkie utwory, ale tylko jeden się ukazał drukiem i ten właśnie zobaczyłem ja, po wielu latach. Został napisany w 1675, w swojskim stylu owych czasów i ludzi, a był skierowany do tych, co się tam wdawali w sprawy rządowe. Wspierał wolność sumienia w imię uciskanych wtedy baptystów, kwaków i innych wyznawców, a właśnie owym prześladowaniom przypisywał indiańskie wojny oraz inne wówczas kraj nękające niepokoje, jako boże osądy na pokaranie obelgi ohydnej jak nietolerancja, a domagał się obalenia owych niemiłosiernych przepisów. Całość wyglądała mi na napisaną z dużą dozą uczciwej prostoty i męskiego poczucia wolności. Pamiętam sześć końcowych wersów, chociaż dwa pierwsze już zapomniałem, ale ich wymowa była taka, że jego przygana wynikała z dobrej woli, a także się przedstawiał jako autor.

„Gdyż do oszczerstwa (mówi on)
Ja mam z serca odrazę;
Z Sherburne miasteczka, gdzie mieszkam,
Piszę tu imię swoje;
Szczery przyjaciel, bez gniewu,
Jestem Peter Folger”.

Moi starsi bracia poszli na naukę zawodu w różnych rzemiosłach. Mnie posłano do szkoły gramatycznej jak miałem lat osiem, gdyż mój ojciec chciał, jako dziękczynienie za wszystkich synów, oddać mnie na służbę Kościołowi.

Utwierdziła go w tym zamiarze moja wczesna umiejętność czytania (a musiała być bardzo wczesna, bo nie pamiętam kiedy czytać nie umiałem), oraz opinie wszystkich jego przyjaciół, że byłby ze mnie dobry scholar. Mój wuj Benjamin także zamiar popierał, a zaoferował wszystkie tomy notatek z kazań zapisanych w swojej stenotypii, myślę, jako wyprawkę, jeżeli bym się jego oznaczeń nauczył. W szkole jednak nie byłem nawet rok, chociaż wysunąłem się w owym czasie stopniowo od średniego poziomu w klasie na jej czoło, po czym przeniesiono mnie do klasy o rok bardziej zaawansowanej, żebym pod koniec drugiego semestru przeszedł z nią do trzeciej. Jednak w międzyczasie mój ojciec, widząc jak kosztowna jest nauka w koledżu, na co przy tak dużej rodzinie nie całkiem mógł sobie pozwolić, a też jak nędzne było życie wielu ludzi po takiej szkole — słyszałem jak podawał te powody przyjaciołom — zmienił swój pierwotny zamiar, zabrał mnie ze szkoły gramatycznej, a posłał do szkoły pisania i arytmetyki prowadzonej przez słynnego wtedy pana Georga Brownella, bardzo w swoim zawodzie ogółem spełnionego, do tego łagodnymi i zachęcającymi metodami. Pod jego kierunkiem dość szybko się nauczyłem przyzwoicie pisać, ale w arytmetyce zawiodłem i nie zrobiłem postępu. Zabrano mnie także w wieku lat dziesięciu do domu pomagać ojcu w biznesie, wtedy były to łojowe świece i gotowanie mydła. Nie nauczył się tego fachu w domu, ale podjął go po przybyciu do Nowej Anglii, gdy się zorientował że farbiarstwo nie utrzyma rodziny, bo małe było nań zapotrzebowanie. Tak oto dostałem zajęcie przy cięciu knota,

napełnianiu form do odlewania i obtaczania świec, pracy w sklepie, posyłkach itd.

Nie lubiłem tego zawodu, a mocno mnie ciągnęła żegluga, lecz ojciec był przeciwny, chociaż mieszkaliśmy przy wodzie i dużo w niej czy przy niej bywałem, wcześniej się nauczyłem dobrze pływać i radzić sobie z łódkami, a chłopaki zwykle dawali mi w łódce czy kajaku prowadzić, szczególnie jak było trudno; przy innych okazjach bywałem między nimi przywódcą i czasem pakowałem ich w tarapaty, z czego wspomnę o jednym takim przypadku, bo pokazuje wczesnego ducha dla spraw publicznych, tyle że na niewłaściwym kursie.

Na obrzeżu młyńskiego stawu było słone mokradło, gdzie stawaliśmy przy przypływie na skraju, łowić płotki. Chodziliśmy tam często i zrobili zwykle grzędawisko, stąd podsunąłem żeby zrobić nasyp, gdzie mielibyśmy jak stać, a wskazałem kumplom duży stos kamieni na nowy dom w pobliżu mokradła, objętością dla naszego celu bardzo odpowiednich. Wieczorem, kiedy robotnicy już sobie poszli, zebrałem kilku kolegów, a uwijając się skrzętnie jak mrówki, czasem po dwóch czy trzech do jednego kamienia, przenieśliśmy je wszystkie i zbudowali nasze małe nabrzeże. Następnego ranka robotnicy byli zdziwieni brakiem kamieni, a też tym, że się je dało znaleźć w naszym nasypie; zrobiono dochodzenie, kto kamienie przeniósł, znaleziono nas i złożono skargę; kilku dostało od ojców pouczenie, a mój, chociaż twierdziłem że była to pożyteczna praca, przekonał mnie iż nic co nieuczciwe, nie ma jak być pożyteczne.

Myślę, chciałbyś się czegoś dowiedzieć o jego osobie i charakterze. Był wspaniałego zdrowia, średniej postury, ale dobrze wyważonej i bardzo silnej; bystry, potrafił ładnie rysować i posiadał nieco muzycznych umiejętności, a że miał czysty i przyjemny głos, kiedy grał na skrzypcach psalmy i do nich śpiewał, jak to czasem robił wieczorem po ukończonym dniu pracy, bardzo było przyjemnie to słyszeć. Miał też pomysłu na mechaniki i od okazji z ręcznie się posługiwał narzędziami innych rzemiosł, jednak szczególnie wybitny był w rzetelnym pojmowaniu oraz ocenie spraw pieniężnych, prywatnych zarówno jak publicznych. Przy tych ostatnich nigdy go w rzeczy samej nie zatrudniono, natomiast liczna rodzina której by zapewnić wykształcenie, oraz skromne majątkowe okoliczności, trzymały go blisko rzemiosła; dobrze jednak pamiętam, często go odwiedzali ludzie wpływowi i pytali o zdanie w sprawach miasta, albo kościoła gdzie należał, okazując sporą miarę szacunku jego osądowi i poradzie; osoby prywatne też dużo się z nim konsultowały, kiedy zdarzało się im natrafić na trudność, a też często go wybierano na arbitra w sporach. Jak się dało, do stołu lubił siadać i mówić z jakimś rozsądnym przyjacielem czy sąsiadem, a zawsze dbał zacząć jakiś zmyślny albo użyteczny temat, by sprzyjał inteligencji jego dzieci. Tym sposobem zwracał naszą uwagę na to, co na życiowej drodze dobre, sprawiedliwe i roztropne, natomiast niewiele albo i wcale nie było mowy o wiktuałach na stole, czy był zastawiony sówicą, czy nieokazale, żywnością z owego sezonu czy spoza niego, smakowicie czy nie najsmaczniej, albo czy jakoś była lepsza

bądź gorsza od takiego samego rodzaju jedzenia gdzieś indziej. Wychowano mnie także w tak doskonałej beznamietności wobec stawianego przede mną pożywienia oraz w takiej dla niego nieuwadze, że po dziś dzień, jak mnie ktoś zapyta, ledwo umiem po paru godzinach odpowiedzieć co było na obiad. Okazało się to dla mnie wygodą w podróży, kiedy moich towarzyszy bardzo unieszczęśliwiał brak właściwej satysfakcji dla ich delikatniejszych, jako że lepiej kształconych, gustów i apetytów.

Moja matka też była wspaniałego zdrowia: wykarmiła piersią wszystkie swoje dziesięcioro dzieci. Nigdy mi nie było wiadomo żeby matka czy ojciec chorowali, z wyjątkiem choroby na którą umarli, on mając 89, a ona 85 lat. Leżą razem pochowani w Bostonie, gdzie ja po paru latach położyłem na ich grobie marmur z tą oto inskrypcją:

Josiah Franklin
Oraz Abiah, jego żona,
Leżą tutaj pochowani.
Żyli wzajem się kochając w małżeństwie
Przez pięćdziesiąt pięć lat.
Bez majątku czy intratnego zatrudnienia,
Ciągłą pracą i staraniem,
Z bożym błogosławieństwem,
Utrzymywali dużą rodzinę
W dostatku,
A wychowali trzynaścioro dzieci
Oraz siedmioro wnuków
W godności.

Z tego przykładu, czytelniku,
Miej w swym rzemiośle zachętę być pracowitym,
A nie wąp w Opatrzność.
On był pobożnym i roztropnym mężczyzną;
Ona przezorną i cnotliwą kobietą.
Ich najmłodszy syn,
Z szacunkiem synowskim dla ich pamięci,
Umieszcza ten tu kamień.
J.F. ur.1655, zm. 1744, lat 89.
A.F. ur. 1667, zm. 1752, lat 85.

Odstępowanie od tematu pokazuje mi, że się zestarzałem. Zwykłem pisać bardziej metodycznie. Jednak prywatnie nikt się jak na bal nie ubiera. To może tylko nieuwaga. Wracając do wątku: zajęcie u ojca trwało dwa lata, czyli do czasu jak miałem lat dwanaście; mój brat John, którego do tego zawodu wychowano, ojca opuścił, ożenił się i założył własny biznes na Rhode Island, a wszystko wskazywało na to, że na jego miejsce przeznaczano mnie i miałem się stać wytwórcą łożowych świec. Nadal jednak tego zawodu nie lubiłem i ojciec się obawiał, że jeśli nie znajdzie czegoś dla mnie bardziej do przyjęcia, ucieknę na statek, jak to już ku jego wielkiemu utrapieniu uczynił inny syn, Josiah. Zabierał mnie więc czasem na przechadzki i pokazywał przy pracy stolarzy, budowlanców, tokarzy, mosiężników itd., żeby przyuważyć jaką mam skłonność i się ze mną ugodzić na jakieś rzemiosło czy pracę na lądzie.

Od tamtej pory zawsze lubię patrzeć na dobrych

rzemieślników przy narzędziach; przydaje się to też, bo dość się nauczyłem by sam wykonywać w domu drobne prace, jak się nie da od razu sprowadzić fachowca, oraz przy budowie małych urządzeń dla moich eksperymentów, kiedy zamysł mam żywo i świeżo w umyśle. Mój ojciec w końcu wybrał wyrób sztucców, a że Samuel, syn wuja Benjamina, nauczył się tego rzemiosła w Londynie i zakładał wtedy biznes w Bostonie, wysłano mnie do niego na jakiś czas, żebym się przypatrywał. Spodziewał się jednak za mnie opłaty, co się ojcu nie spodobało i znów zabrał mnie do domu.

Od dziecka lubiłem czytać i wszystkie te małe pieniądze jakie miałem na rękę, wydawałem na książki. Zadowolony z „Pielgrzymiego postępu”, pierwszą kolekcję zebrałem utworów Johna Bunyana, w osobnych tomikach. Sprzedałem ją potem, żeby kupić „Kolekcje historyczne” R. Burtona, małe książeczki w domokrażnej sprzedaży, tanie, 40 czy 50 ogółem. Biblioteczka ojca zawierała głównie polemiki duchowe, których większość przeczytałem, a potem żałowałem, że w czasie gdy miałem taki głód wiedzy, nie było wokół mnie zdatniejszych książek, bo już było postanowione, że duchownym nie będę. Miał „Żywoty” Plutarcha i tych się dużo naczytałem, a dalej uważam za czas dobrze spędzony. Miał książkę Defoe, zwaną „Esejem o projektach”, i jeszcze inną, doktora Mather, „Eseje o czynieniu dobra”; a te może i nasunęły mi zapatrywanie co wpłynęło na niektóre z najważniejszych rozwojów wydarzeń w moim życiu.

To moje serce do książek w końcu podsunęło ojcu myśl zrobić ze mnie drukarza, chociaż już miał syna w tym

zawodzie (Jamesa). W 1717 mój brat James wrócił z Anglii z prasą drukarską i czcionkami, założyć biznes w Bostonie. Zawód podobał mi się znacznie bardziej niż ojca, ale dalej miałem ciągoty do żeglugi. Ojciec niecierpliwił się mnie zobowiązać dla brata, ażeby zapobiec przypuszczalnym skutkom owej inklinacji. Jakiś czas się opierałem, ale w końcu dałem przekonać i podpisałem umowę terminatorską, mając nie więcej niż dwanaście lat.

Miałem być praktykantem do wieku lat dwudziestu jeden, a w ostatnim roku dostawać płacę czeladnika. Szybko się świetnie rozeznałem w biznesie i stałem bratu poręczny. Miałem teraz dostęp do lepszych książek. Znajomość z praktykantami w księgarniach pozwalała mi czasem jakąś pomniejszą książkę wypożyczyć, a każdą dbałem oddać rychło i niezabrudzoną. Często siedziałem znakomitą większość nocy w swoim pokoju i czytałem, pożyczwszy książkę wieczorem, a mając oddać wcześniej rano, gdyby komuś przyszło zauważyć jej brak, bądź jej potrzebować.

Po jakimś czasie pewien bystry handlowiec, pan Matthew Adams, który miał sporą kolekcję książek, a był w naszej drukarni bywalcem, zauważył mnie i zaprosił do swojej biblioteki, skąd uprzejmie mi pożyczał książki jakie chciałem. Była teraz w mim guście poezja i sam napisałem parę mniejszych utworów. Brat, myśląc że może być coś z tego dla rachunku, zadał mi układanie okolicznościowych ballad. Jedna nazywała się „Tragedia o morskiej latarni”, a mówiła o zatonięciu kapitana Worthilake i jego dwóch córek; druga była szantą o schwytaniu pirata Teach (czyli Czarnobrodego).

Były to wątłe kawałki, w stylu zaułka; po wydruku brat posłał mnie na miasto je sprzedać. Pierwsza poszła wspaniale, bo zajęcie było niedawne i zrobił się koło niego wielki hałas. Pochlebiło to mojej próżności, jednak ojciec mnie zniechęcił; wyśmiał moje utwory i powiedział, wierszokleci to ogółem żebracy. Tak oto uniknąłem losu poety, którym byłbym najpewniej bardzo marnym. Pisanie prozą nader się mi jednak na mojej życiowej drodze przydało i stało główną drogą do postępu, opowiem ci więc jak, w moich okolicznościach, nabyłem swą skromną w tym umiejętność.

Był w mieście też inny chłopak co lubił książki, nazywał się John Collins, a znałem go blisko. Urządzaliśmy sobie dyskusje, bardzo lubili budować argumenty i je jeden drugiemu zbijać, które to zacięcie do dysputy, tak przy okazji, potrafi przejść w bardzo zły nawyk; ludzie się stają w towarzystwie niezwykle nieznośni, gdyż dysputa potrzebuje niezgody, a także nie tylko czyni rozmowę cierpką i ją psuje, ale budzi niechęć czy może i wrogość tam, gdzie jest potencjalnie okazja do przyjaźni. Przyuważyłem to, czytając książki ojca o dyspucie religijnej. Osoby o zdrowym rozsądku, jak obserwuję od tamtej pory, rzadko w ten nawyk popadają, z wyjątkiem prawników, środowisk akademickich, oraz wszelkiego rodzaju ludzi co ich wychowano w Edynburgu.

Na taki czy inny sposób, zaczęła się kiedyś między mną a Collinsem kwestia, czy to właściwe by kobiety się uczyły w szkole oraz jaką mają do studiów zdolność. On był zdania, że to niestosowne, bo z natury nie są mężczyznom równe w

nauce. Ja zająłem stanowisko przeciwne, trochę może dla samej dyskusji. On był naturalnie bardziej elokwentny, miał mnóstwo słów na pogotowiu i pokonywał mnie czasem, myślałem, płynnością mowy bardziej niż siłą rozumowania. Jako że się nam przyszło pożegnać bez rozstrzygnięcia, a nie mieliśmy się widzieć jakiś czas, zasiadłem moje argumenty ująć w piśmie, co przepisałem na czysto i mu wysłałem. On odpowiedział, a ja odpisałem. Było już tych listów trzy albo cztery z obu stron, gdy mój ojciec natrafił na moje papiery i je przeczytał. Nie wdając się w dyskusję, wykorzystał okazję by ze mną pomówić o moim stylu pisania. Zauważył, choć przeważałem nad oponentem w poprawnej pisowni i interpunkcji (co zawdzięczałem pracy w drukarni), daleko mi było do niego względem elegancji wyrazu, spójności i przejrzystości, o czym mnie przekonał na paru przykładach. Dostrzegłem rację w jego uwagach i stałem się w stylu pisania bardziej uważny, a zdecydowany uczynić je lepszym.

W owym mniej więcej czasie wpadł mi w oko egzemplarz *Spektatora*. Był to numer trzeci. Przedtem nigdy żadnego nie widziałem. Kupiłem go, czytałem raz za razem i delektowałem się bardzo. Styl pisania był mi świetny i chciałem się w miarę możliwości takiego nauczyć. Z tym na widoku chwyciłem parę artykułów, zanotowałem krótkie wzmianki o przesłance w każdym zdaniu, odłożyłem na parę dni, a potem, bez zaglądania do magazynu, spróbowałem każdy temat rozwinąć do postaci pełnej, jaką miał przedtem, w dowolnych słowach o właściwym charakterze co przychodziły pod pióro. Potem porównałem mojego „Spektatora” z

oryginałem, odkryłem niektóre z moich niedociągnięć i je poprawiłem. Zauważyłem niedobór w moim zasobie słów, bądź zdolności ich przywożenia na myśl i użycia, co do czego pomyślałem, już bym taką wprawę był rozwinął, gdybym dalej pisał wierszem, jako że stale daje okazję do słów tej samej wagi a różnej długości, dla dopasowania miary, bądź tej samej wagi a różnych w brzmieniu, dla rymu, co by mnie przymusiło do ciągłego wyszukiwania różnorodności, a utrzymywało ją w umyśle i czyniło w niej sprawnym. Także wybrałem parę tekstów i zapisałem je rymem. Po jakimś czasie, jak już zapomniałem prozę dość dobrze, zmieniłem je z powrotem. Pomieszałem też niekiedy moje kolekcje wzmianek i po paru tygodniach próbowałem ułożyć w jak najlepszy porządek, zanim rozpisałem w zdania i dopełniłem do artykułu. Miało mnie to nauczyć metody w organizowaniu myśli. Porównując potem moje opracowanie z oryginałem, zdarzało się mi znajdować wiele wad i je naprawiać, ale zdarzało się mi też przyjemnie bawić myślą, iż względem niektórych szczegółów pomniejszego znaczenia miałem dość szczęścia metodę lub język usprawnić, a to zachęcało do myśli, iż mógłby ze mnie z czasem być znośny po angielsku autor, co do czego miałem olbrzymią ambicję.

Czas na te ćwiczenia i czytanie miałem w nocy, po pracy albo zanim się rano zaczynała, oraz w niedziele, kiedy mogłem być sam w drukarni, unikając jak się da uczęszczania na nabożeństwo, którą to obecność ojciec egzekwował gdy byłem pod jego opieką, a ja nadal uznawałem za obowiązek, tyle że zdawało się, nie stać mnie było na jego dopełnianie.

Miałem lat mniej więcej szesnaście, kiedy natrafiłem na książkę niejakiego pana Tryon, zalecającą dietę warzywną. Umyśliłem, w to pójdę. Mój brat, wtedy jeszcze nieżonaty, nie prowadził domowego gospodarstwa, ale się z praktykantami stołował u rodziny. Moje odmawianie mięsa przyczyniało się do niezręcznej atmosfery, a bywało, wyśmiewano mnie za odstawanie od reszty. Zapoznałem się ze sposobami Tryona na sporządzanie niektórych dań, jak gotowane ziemniaki lub ryż, szybki pudding i parę innych, a bratu zaproponowałem, jak da mi co tydzień połowę z pieniędzy na moje obiady, sam się będę stołować. Od razu się zgodził, a ja wkrótce odkryłem że połowę z owych pieniędzy mogłem odłożyć. Był to dodatkowy fundusz na zakup książek. Miałem z tego wszystkiego jeszcze jedną korzyść. Kiedy mój brat i reszta szli z drukarni na posiłek, ja zostawałem sam, a sprawiwszy się szybko z moją lekką przekąską, którą często był teraz biskwit lub kawałek chleba, garść rodzynek czy ciastko od kucharza w cukierni, do tego szklanka wody, mogłem spędzać na nauce cały czas do ich powrotu, a robiłem postęp tym większy, że umiarkowaniu w jedzeniu i piciu zazwyczaj towarzyszy zwiększona jasność umysłu i łatwiejsze pojmowanie.

Jako że mnie od okazji zawstydzano za ignorancję względem liczb, a w szkole odniosłem w ich uczeniu się porażkę dwa razy, zabrałem się za arytmetykę Cockera i sam całą przerobiłem, z łatwością. Przeczytałem też książki do nawigacji Sellera i Shermy'ego, a zapoznałem się i z ową odrobiną w nich geometrii, daleko jednak w tej nauce nie

zachodząc. Przeczytałem wtedy również Locke'a, „O ludzkim pojmowaniu” oraz „Sztukę myślenia” panów z Port Royal.

Chętny doskonalić język, napotkałem na angielską gramatykę (myślę, Greenwooda), u której końca były dwa krótkie szkice literackie o sztukach, retoryki oraz logiki, a ten drugi kończył się próbką dysputy metodą sokratejską. Niedługo potem zdobyłem „O Sokratesie rzecz pamiętą”, autorstwa Ksenofonta, gdzie jest wiele przykładów tej samej metody. Urzekła mnie, przystałem na nią, porzuciłem moje nieokrzeseane sprzeczności i argumenty drogą stwierdzenia, a przyjąłem postawę skromnego badacza i sceptyka. Będąc wtedy, po lekturze Shaftesbury'ego i Collinsa, rzeczywiście sceptykiem co do wielu punktów naszej religijnej nauki, poznałem się na tej metodzie jako najbezpieczniejszej dla mnie i bardzo kłopotliwej dla tych, przeciwko którym ją kierowałem; rozkoszowałem się w niej, ćwiczyłem stale i nabyłem znacznej wprawy we wciąganiu nawet ludzi o wiedzy wyższej niż moja, w ustępstwa o skutkach przez nich nieprzewidywanych, oplątując ich trudnościami z jakich się nie mieli jak wywikłać, a odnosząc zwycięstwa na które ja czy moje powody nie zawsze zasługiwały.

Uprawiałem tę metodę jakieś parę lat, ale potem po trochu od niej odszedłem, a zachowałem tylko zwyczaj wysławiania się w pojęciach skromnej nieokreśloności; dając rzecz pod rozwagę, nie używałem słówek jak *oczywiście*, *niewątpliwie*, czy wielu tych innych, które dają opinii aureę stwierdzenia; wołałem mówić, *jak tę rzecz pojmuję* lub *widzę*, *na to mi wygląda*, bądź też *jak by wynikało*, z takich to a takich

powodów, *tak sobie to wyobrażam*, lub *jest tak*, o ile się nie myłę. Ten zwyczaj wierzę, przyniósł mi wiele korzyści gdy mi przychodziło krzewić swe opinie, a przekonywać ludzi do sposobów jakie bywałem angażowany promować.

A że głównym celem rozmowy jest *udzielić informacji* lub *informację otrzymać*, sprawić komuś *przyjemność*, czy kogoś *przekonać*, chciałbym aby ludzie rozsądni, o dobrych intencjach, nie umniejszali swej zdolności do czynienia dobra taką twierdzącą, co z góry zakłada manierą, bo ta rzadko zawodzi w budzeniu niechęci i oporu, niosąc porażkę każdemu z tych na rozum celów aby mowę mieć, to jest informacji bądź przyjemności. Ponieważ jeśli *informujesz*, stwierdzająca i dogmatyczna maniera w przekazywaniu odczuć może prowokować sprzeciw i odmawiać miejsca uczciwej rozwadze. Natomiast jeśli chcesz się *poinformować* i ulepszyć swą wiedzę za pomocą tej od innych ludzi, a w tym samym czasie wyrażasz się jak osoba stanowczo utwierdzona w obecnym zdaniu, rozsądni ludzie, którzy dysput nie kochają, zapewne pozostawią cię w niezmaconej niczym nieświadomości błędu. Bardzo rzadko jest nadzieja sprawić słuchaczom takim stylem *przyjemność*, czy też przekonać tych, których potrzebujesz po jednej z tobą stronie.

Jak rozważnie mówi Pope:

*„Ludzi tak by uczyć, jakby nikt nie uczył,
Rzeczy nowej, jakby pamięci przywrócił”;*

Dalej zaleca on nam:

Mówić co pewne, przybrawszy przypuszczenie.

A mógł tutaj być przyłączyć ów wers, który z innym złączył, jak myślę, mniej stosownie:

Gdyż chęć miary w słowach, to potrzeba sensu.

Gdybyś pytał, dlaczego *mniej stosownie*, muszę tu wersety powtórzyć:

Słów bez umiaru obrona jest daremną,

Gdyż chęć miary w słowach, to potrzeba sensu.

Teraz, czyż *pragnienie sensu* (jeśli człowiek jest tak nieszczęsny, że mu brak) nie jest jakimś podłożem dla *braku umiarkowania*? Czy nie byłoby lepiej tak ułożyć?

Słów bez umiaru obrona jest ta jedna,

Iż chęć miary w słowach, to sensu potrzeba.

Jednakowoż poddałbym to lepszemu osądowi.

W roku 1720 albo 1721, mój brat zaczął drukować gazetę. Była drugą w ogóle gazetą w Ameryce, a nazywała się *Kurier Nowej Anglii*. Poprzedzał ją jedynie *Biuletyn bostoński*. Pamiętam jak niektórzy przyjaciele zniechęcali brata do przedsięwzięcia, ich zdaniem bez szansy na sukces, bo jedna gazeta zupełnie Ameryce wystarczała. W obecnym czasie (1771) jest gazet nie mniej niż dwadzieścia pięć. On się jednak zdecydował iść w to przedsięwzięcie dalej, a ja, po pracy przy składaniu czcionek i drukowaniu szpalt, dostałem zajęcie przy roznoszeniu egzemplarzy po ulicach.

Byli pośród jego przyjaciół ludzie bystrzy, którzy zabawiali się pisanem do gazety krótkich artykułów, co przynosiło jej dochód i zwiększało na nią zapotrzebowanie, a dżentelmani owi często nas odwiedzali. Słyszając ich rozmowy

oraz opowieści o aprobacie z jaką ich artykuły były przyjmowane, emocjonowałem się myślą, żeby poprobować pośród nich pióra. Byłem jednak jeszcze chłopcem i podejrzewałem, brat by się sprzeciwił drukowi czegoś ode mnie, gdyby wiedział że to moje, toteż powziąłem ukryć swą rękę i napisałem anonimowy artykuł, a w nocy wsunąłem go pod drzwi drukarni. Znaleziono go rankiem i kiedy przyszli jak zwykle, dowiedzieli się o nim jego przyjaciele po piórze. Przeczytali go i skomentowali w zasięgu mojego słuchu, a miałem niebywałą przyjemność wiedzieć iż spotkał się z ich aprobatą, a też w tym, że zgadując kto mógł być autorem, nie wymieniali nikogo prócz mężczyzn pośród nas o pewnej względem wykształcenia i intelektu renomie.

Myślę teraz, miałem szczęście co do moich sędziów albo może nie byli tak dobrzy, jak ich wtedy oceniałem. Dodało mi to jednak odwagi i napisałem oraz na taki sam sposób przekazałem pod prasę parę więcej artykułów, które również przyjęto, a dochowywałem swego sekretu, dopóki moje skromne poczucie sensu znacznie się dla takiego rodzaju utworów nie uszczupliło, i wyjawilem sprawę kiedy jeden ze znajomych brata zaczął mnie traktować jak kogoś więcej, co się mojemu bratu nie podobało, bo myślał, pewnie rozsądnie, że mnie to przyprawia o próżność. Była to może jedna z przyczyn różnic, jakie się zaczęły wtedy między nami pojawiać. Chociaż był moim bratem, miał siebie za majstra a mnie za praktykanta, i wedle tego oczekiwał ode mnie usług tak samo, jak by się spodziewał od kogoś innego, podczas gdy ja uważałem że mi niektórymi wymogami za bardzo ujmuje,

bo od brata spodziewałbym się więcej wyrozumiałości. Często szliśmy z naszymi sporami do ojca, a bawię się myślą, że albo miałem ogółem rację, albo byłem lepszym rzecznikiem, gdyż osąd przeważnie przychylił się mojej stronie. Brat był jednak gwałtowny i często mnie bił, co ja znosiłem niesamowicie źle, a odczuwając swoją praktykę jako bardzo mozolną, stale myślałem o jakiejś okazji ją skrócić; ta w końcu przyszła, na sposób nieoczekiwany.

Notka. Tak sobie myślę, może to jego nieokrzesane i tyrańskie traktowanie przyczyniło się do tej awersji, jaką siła arbitralna budzi we mnie przez całe moje życie.

Jeden z artykułów w naszej gazecie, o jakiejś kwestii politycznej, teraz już jej nie pamiętam, obraził Zgromadzenie. Zabrano go, obłożono naganą i zamknięto na miesiąc do więzienia, pewnie nakazem przewodniczącego, bo brat nie zgodził się ujawnić autora. Mnie też wezwano i przesłuchano przed radą; a chociaż nie dałem im w niczym satysfakcji, zadowolili się upomnieniem i mnie wypuścili, patrząc być może jako na jedynie praktykanta, a ten ma za obowiązek dotrzymywać sekretów swojego majstra.

Podczas pobytu brata w więzieniu, która to kara pomimo naszych osobistych różnic bardzo mnie oburzała, ja zarządzałem gazetą; a odważyłem się w niej dać naszym władzom parę kuksańców, co mój brat przyjął bardzo łagodnie, jednak inni zaczęli mnie postrzegać w świetle niekorzystnym, jako młodego zdolniaczkę z zacięciem do fermentu i satyry. Uwolnieniu mojego brata towarzyszył nakaz Izby (bardzo niezwykły), ażeby „James Franklin nie

drukował już gazety o tytule Kurier Nowej Anglii”.

Odbyliśmy z jego przyjaciółmi w drukarni naradę, co robić. Niektórzy proponowali obejść zakaz poprzez zmianę nazwy gazety; mój brat jednak widział w tym niedogodność i postanowiono, że lepiej ją będzie w przyszłości drukować pod imieniem BENJAMIN FRANKLIN. Natomiast aby uniknąć kary od Zgromadzenia, którą mógł zostać obłożony jako majster co dalej drukuje poprzez praktykanta, kruczek był taki, że zwróciłby mi kontrakt terminatorski z pełnym uwolnieniem na odwrotnej stronie, żebym to mógł w razie czego okazać; natomiast aby on miał gwarancję na moje dalsze usługi, ja bym podpisał na pozostały termin nowy kontrakt, a ten miał być poufny. Marny był to plan; został jednak od razu wprowadzony w życie i gazeta działała dalej przez parę miesięcy, pod moim imieniem.

Po jakimś czasie powstała między mną a bratem nowa różnica i zdecydowałem się zadbać o swoją wolność, zakładając że nie spróbuje nowych kontraktów. Nie byłem bezstronny szukając wtedy przewagi, i myślę, byłoby to jedną z pierwszych do mojego życia poprawek, choć w owym czasie ta stronniczość nijak mi nie ciążyła, bo powodowała mną odraza do ciosów zadawanych mi pod impulsem emocjonalnego przyływu, przez człowieka który inaczej nie był złej natury; może to ja byłem zbyt zuchwały i prowokujący.

Kiedy odkrył że go zostawię, postarał się by mi nie dała pracy żadna inna w mieście drukarnia; obszedł je wszystkie i wszędzie porozmawiał z majstrem, a ci, wedle jego życzenia, odmówili mi zarobku. Rozwahałem wtedy wyjazd do Nowego

Jorku, jako najbliższego miejsca gdzie był drukarz; opuścić Boston byłem skłonny tym bardziej, jak myślałem o arbitralnych działaniach Zgromadzenia: nieco się już ówczesnym władzom sprzykrzyłem, a po sprawie brata było widać że ja też, pozostając, szybko bym poszedł w rozsypkę; dalej, w rezultacie moich nierozważnych dyskusji o religii, palcem mnie zaczęli wskazywać ci spośród dobrych ludzi, co ich przerażał niewierny albo ateista. Wyjaśniłem sprawę ojcu, ale on trzymał teraz stronę brata i rozumiałem, że jeśli otwarcie bym mówił o wyjeździe, powzięto by kroki mnie zatrzymać. Takoż mój przyjaciel Collins podjął się nieco za mnie załatwić. Ugodził się z kapitanem łódki do Nowego Jorku jakoby na przeprawę młodego znajomego co popadł w kłopot z dzieckiem z niedobłą dziewczyną, a jej przyjaciele domagaliby się ślubu, stąd nie mógł się pokazywać ani podróżować publicznie. Sprzedałem niektóre z moich książek, żeby zebrać pieniądze, i zostałem prywatnie przyjęty na pokład, a że mieliśmy zacny wiatr, w trzy dni znalazłem się w Nowym Jorku — jakieś trzysta mil od domu, chłopiec siedemnastoletni, bez jakiegokolwiek rekomendacji czy znajomości w owym miejscu z kimkolwiek, tylko z bardzo skromną sumą w kieszeni.

Moja skłonność do żeglugi znacznie już do owej pory osłabła, czy też dość ją zaspokoilem, takoż mając zawód i spodziewając się być dobrym pracownikiem, zaoferowałem moje usługi miejscowemu drukarzowi, staremu panu Williamowi Bradfordowi, przedtem pierwszemu drukarzowi w Pensylwanii, który się stamtąd przeniósł popadłszy w spór

z Georgem Keith. On nie mógł mnie zatrudnić, mając mało pracy i dość wielu pomocników, ale powiedział, „Mojemu synowi w Filadelfii ostatnio umarł jego prawa ręka, Aquila Rose; jeśli tam pojedziesz, wierzę, może mieć dla ciebie pracę”. Filadelfia była o sto mil dalej. Wyruszyłem łódką do Amboy, a kufer i resztę rzeczy zostawiłem do transportu brzegiem oceanu.

Na zatoce napotkaliśmy na szkwał, a ten porwał nasze marne żagle na strzępki, nie wpuścił nas na Kill, a pogonił na Long Island. Po drodze jeden z pasażerów, pijany Holender, wypadł za burtę i już tonął, gdy sięgnąłem po jego czuprynę i podciągnąłem, więc znów go ze sobą mieliśmy. To unurzanie nieco go otrzeźwiło i poszedł spać, wyjąwszy przedtem z kieszeni książkę, którą chciał żebym dla niego osuszył. Okazała się moim z dawna lubianym „Pielgrzymim postępem” Bunyana po niderlandzku; precyzyjny wydruk na dobrym papierze, miedzią obite rogi, szata lepsza niż tą książkę kiedykolwiek widziałem w języku jej rodzimym. Jak się od tamtej pory zorientowałem, przełożono ją na większość języków europejskich, a czytano pewnie częściej niż jakąkolwiek inną, może z wyjątkiem Biblii. Poczciwy John to pierwszy znany mi autor co łączy narrację i dialog; to sposób pisania atrakcyjny dla czytelnika, bo jest w najciekawszych momentach jak na miejscu, wprowadzony do towarzystwa i obecny przy rozmowie. Defoe w jego „Crusoe”, „Moll Flanders”, „Elegancji religijnych manier”, „Poradniku rodzinnym” i innych utworach naśladuje to z sukcesem; Richardson tak samo, w jego „Pameli” itd.

Kiedy dopłynęliśmy w pobliże wyspy, nie było gdzie lądować, bo plaża była kamienista a przybój olbrzymi. Rzuciliśmy więc kotwicę i kolebali się na falach w stronę brzegu. Jacyś ludzie podeszli na skraj wody i do nas wołali, potem my do nich, ale wiatr był silny i przybój głośny tak, że nie słyszeliśmy się wzajem dość dobrze by rozumieć. Na brzegu były czółna i zaczęliśmy dawać znaki i wołać żeby po nas podpłynęli, ale albo nas nie zrozumieli, albo myśleli że się nie da, no i odeszli. Nadciągała noc, a nam nie pozostawało nic lepszego niż czekać aż wiatr przejdzie, w międzyczasie więc ja i sternik postanowiliśmy się w miarę możliwości zdrzemnąć; wcisnęliśmy się pod pokład obok Holendra, który dalej był mokry, a woda rozbryzgiwała się o łódź, rozpylała na pokład i na nas przeciekała, nie trwało więc długo i byliśmy mokrzy jak on. Przeleżeliśmy takim sposobem całą noc, prawie nie wypoczywając. Następnego dnia wiatr ucichł i ruszyliśmy zaraz na Amboy, żeby dotrzeć przed nocą, po trzydziestu godzinach na wodzie, bez jedzenia, bez napitku prócz butelki parszywego rumu, płynąc po wodzie słonej.

Wieczorem miałem sporą gorączkę i poszedłem do łóżka. A że gdzieś przedtem czytałem, picie zimnej wody w obfitych ilościach dobrze robi na gorączkę, podążyłem za poradą, większość nocy wypociłem się porządnie i gorączka przeszła; rano, po przeprawie promem, podróżowałem dalej pieszo, a miałem pięćdziesiąt mil do Burlington, gdzie mi powiedziano, powinienem znaleźć łódkę wprost do Filadelfii.

Cały dzień ciężko padało i byłem zupełnie przemoczony.

ny, a do południa i mocno zmęczony, zrobiłem więc sobie postój w ubogiej gospodzie, gdzie zostałem na noc, zaczynając żałować że opuściłem dom. Była ze mnie do tego taka licha postać, zauważyłem po zadawanych mi pytaniach, podejrzewano że byłem zbiegłym sługą, za co groziło zatrzymanie. Następnego dnia ruszyłem jednak dalej, a wieczorem dotarłem do gospody jakieś osiem czy dziesięć mil od Burlington, prowadzonej przez niejakiego doktora Brown.

Jadłem drobną przekąskę, gdy zaczął rozmowę, a odkrywszy że byłem nieco odczytany, stał się bardzo towarzyski i przyjazny. Nasza znajomość trwała długo jak żył. Wyobrażam sobie, był jakimś wędrownym scholarem, bo nie było miasta w Anglii, czy kraju w Europie, którego by nie umiał opisać do szczegółu. Miał trochę pisarskiej wprawy i był bystry, ale w sporej mierze niewierzący, a parę lat potem powziął sobie pisać lichą imitację Biblii topornym rymem, jak Cotton z Wergiliusza. Przedstawił wiele faktów w niepoważnym świetle i mógł być zaszkodzić słabym umysłem, gdyby została opublikowana, ale nigdy do tego nie doszło.

Dostałem owej nocy w jego domu łóżko, a następnego dnia rano dotarłem do Burlington. Ku mej rozpacz, wszystkie regularne kursy wypłynęły niedługo przedtem i żadnej łodzi się nie należało spodziewać do wtorku, a była sobota. Wróciłem do miasteczka, do starszej kobiety u której wcześniej kupiłem piernika i zjadłem z wodą, i zapytałem o poradę. Zaprosiła mnie u siebie na stancję, do czasu aż byłaby jakaś łódka, a ja, zmęczony podróżą pieszo, przyjąłem jej zaproszenie. Rozumiejąc że jestem drukarzem, mówiła iż

biznes mógłbym mieć tam w miasteczku, nieświadoma potrzeb wyposażenia na początek. Była bardzo gościnna i zaoferowała ze swej wielkiej dobrej woli obiad z wołowiną, za jedynie dzbanek piwa w zamian. Uznałem się za oporządzonego do wtorku. Zdarzyło się jednak, spacerowałem wieczorem nad brzegiem rzeki i paru ludzi płynęło łodzią, podpytałem, do Filadelfii. Zabrali mnie, a że nie było wiatru, całą drogę wiosłowaliśmy; około północy miasta nadal nie było widać i niektórzy byli pewni, że je minęliśmy, toteż nie chcieli wiosłować dalej; reszta też nie wiedziała gdzie jesteśmy, więc podpłynęliśmy do brzegu, potem w górę tam rzeczki i wylądowali koło starego płotu, z którego sztachet zrobiliśmy ognisko, bo w październiku noc była zimna, i tam pozostaliśmy do świtu. Wtedy jeden rozpoznał Cooper's Creek, trochę za Filadelfią, a tą zobaczyliśmy zaraz jak wypłynęliśmy rzeczką z powrotem; przybyliśmy do miasta o ósmej czy dziewiątej rano w niedzielę, na nabrzeże przy ulicy Rynkowej.

Staję się staranniejszy w opisie podróży i taki też będę, pisząc o moim pierwszym w owym mieście pobycie, abyś mógł w myślach porównać niezwykle początki oraz postać jaką się od tamtej pory stałem. Byłem wtedy w ubraniu roboczym — moja najlepsza odzież miała przypląć brzegiem. Brudny z drogi, kieszenie napchane koszulkami i skarpetami; nie znałem ni duszy, ani nie wiedziałem gdzie szukać stancji. Zmęczony podróżą, wiosłem i brakiem odpoczynku, byłem bardzo głodny, a całą moją gotówką był holenderski dolar i szyling w miedziakach. Te ostatnie dałem

ludziom z łódki za przeprawę; z początku odmawiali, bo wiosłowałem, ale się uparłem: człowiek bywa bardziej szczodry kiedy ma mało pieniędzy, niż kiedy ma ich mnóstwo, może przez obawę iż by o nim myślano, że ma tylko mało.

Rozglądając się po ulicy, podszedłem aż do domu handlowego, gdzie napotkałem chłopca z chlebem. Niejeden już miałem do owej pory z chleba posiłek; wywiedziałem się skąd go ma i zaraz poszedłem do wskazanego piekarza, na ulicy Drugiej. Zapytałem o biskwit jaki mieliśmy w Bostonie, ale w Filadelfii najwyraźniej go nie robili. Zapytałem o chlebek za trzy pensy, ale takich też nie było, więc nie zważając na różnicę w wartości pieniądza, której i tak nie znałem, równie jak różnic w cenach czy nazwach pieczywa, poprosiłem o dowolny wypiek za trzy pensy. Dał mi trzy wielkie i puchate bułki. Zdziwiła mnie ta ilość, ale je wziąłem, a że nie miałem miejsca w kieszeniach, wsadziłem dwie bułki pod łokcie i poszedłem, trzecią sobie jedząc. Dalej w górę ulicy Rynkowej, aż do ulicy Czwartej, przeszedłem obok drzwi niejakiego pana Read, ojca mojej przyszłej żony; ona stała w drzwiach, zobaczyła mnie i pomyślała że był ze mnie, a na pewno rzeczywiście był, jak najdziwniejszy i najśmieszniejszy z widoków. Skręciłem potem w ulicę Kasztanową i podeszłem troszkę Orzechową, całą drogę jedząc bułkę, a krążąc tak dalej znalazłem się z powrotem na nabrzeżu Rynkowej, niedaleko łódki, gdzie podszedłem po łyk rzecznej wody. Dość nasycony jedną bułką, dałem dwie co mi zostały kobiecie z dzieckiem, która z nami przyплыnęła i czekała teraz, żeby płynąć dalej.

Tak oto posilony, poszedłem znów w górę ulicy, a na tej zdążyło się pojawić wielu schludnie ubranych ludzi, wszyscy idąc w jedną stronę; dołączyłem do nich i tak oto przywieziono mnie do wielkiego domu spotkań kwaków, przy rynku. Usiadłem pomiędzy nimi, porozglądałem się przez chwilę, a że nikt nic nie mówił i byłem bardzo śpiący po wysiłku poprzedniej nocy, mocno zasnąłem i spałem tak aż do końca spotkania, kiedy to ktoś był na tyle uprzejmy, żeby mnie obudzić. Takż był to pierwszy dom gdzie byłem czy spałem, w Filadelfii.

Idąc znów w stronę rzeki i przyglądając się ludzkim twarzom, napotkałem na młodego kwakra i jego wygląd mi się spodobał, stąd zagadałem do niego i zapytałem, gdzie przyjezdny mógłby znaleźć kwatere. Byliśmy wtedy blisko szyldu Trzech Marynarzy. „Tutaj”, powiedział, „przyjmują obcych, ale miejsce to nie ma dobrej reputacji; o ile się pan zgodzi ze mną trochę przejść, pokażę panu lepsze”. Zaprowadził mnie do Garbatej Gospody na ulicy Wodnej. Dostałem tam obiad. Kiedy jadłem, zadano mi parę podchwytliwych pytań, podejrzewając najwyraźniej po moim młodym wieku i wyglądzie, że mogłem być zbiegiem.

Po obiedzie wróciła mi senność, a że wskazano mi łóżko, położyłem się w ubraniu i spałem do szóstej wieczorem, kiedy to zawołali mnie na kolację, a wróciłem na posłanie bardzo wcześnie i mocno spałem do następnego ranka. Wtedy oczyściłem się jak mogłem i poszedłem do Andrew Bradforda, drukarza. Był już tam jego ojciec, ów znajomy z Nowego Jorku, dotarł do Filadelfii konno przede

mną. Przedstawił mnie swojemu synowi, a ten przyjął uprzejmie, dał śniadanie, ale powiedział, nie potrzebuje obecnie pomocy, bo właśnie kogoś znalazł; w mieście był jednak nowy drukarz, niejaki Keimer, i może on mógł dać mi pracę; jeśli nie, zapraszał na stancję u siebie, gdzie dawałby mi od czasu do czasu drobne prace, póki by nie było lepszego interesu.

Starszy dżentelman stwierdził że ze mną pójdzie do owego drukarza, a jak go znaleźliśmy, rzekł, „Sąsiedzie, przyprowadziłem ci młodego człowieka po fachu, może takiego zechcesz”. Ten zadał mi parę pytań, dał w ręce wierszownik by zobaczyć sprawność, i powiedział że wkrótce by mnie zatrudnił, ale akurat wtedy nic do roboty dla mnie nie miał; a biorąc starego Bradforda, którego nigdy przedtem nie widział, za jednego z ludzi dobrej woli z tego samego miasta, zaczął z nim rozmowę o swoich bieżących przedsięwzięciach i projektach; gdy stwierdził że się spodziewa wkrótce objąć większą część rynku, Bradford, nie ujawniając iż jest ojcem jedyne go innego w mieście drukarza, zaczął mu zadawać zręczne pytania, a podnosząc drobne wątpliwości, dociekał poglądów, bazy w biznesie, oraz sposobu by interes prowadzić. Ja, który stałem obok i wszystko słyszałem, zaraz się rozeznałem że jeden był zręcznym starym wygą, a drugi zwykłym nowicjuszem. Bradford zostawił mnie z Keimerem, a ten, gdy mu powiedziałem kto zaczął ów starszy mężczyzna, był wielce zdziwiony.

Okazało się, drukarnia Keimera to stara rozklekotana prasa i jeden mały, wytarty zestaw angielskich czcionek,

którego sam właśnie używał, komponując elegię o Aquila Rose, wspomnianym już bystrym młodym człowieku, świetnego charakteru, szanowanym w mieście, kanceliście Zgromadzenia i całkiem sobie poecie. Keimer też układał wersy, ale bardzo niedbale. Nie dało się powiedzieć że je pisał, bo jego sposobem było układać czcionki od razu, z głowy; ponieważ nie było kopii, a tylko jedna para dużych i małych liter, i dało się spodziewać, że elegia będzie wymagać ich wszystkich, nie było jak mu pomóc. Podjąłem się ustawić jego prasę (której nigdy jeszcze nie używał i wcale się na niej nie znał), a obiecawszy przyjść i wydrukować elegię jak tylko będzie gotowa, wróciłem do Bradforda, który dał mi drobne zajęcie na tymczasem, a tam też zamieszkałem i jadłem. Po paru dniach Keimer przysłał po mnie, drukować elegię. Miał teraz następny komplet czcionek oraz pamflet do przedruku i zadał mi do tego też się zabrać.

Obydwaj drukarze byli kiepsko przygotowani do zawodu. Bradford nie był od dzieciństwa przyuczony do fachu, a też odcytany był bardzo mało; natomiast Keimer, choć w miarę scholar, był raczej zecerem i nie znał się nic a nic na pracy przy prasie. Był jednym z ówczesnych francuskich profetyków i umiał sobie poczynąć w duchu ich entuzjastycznej ekscytacji. Nie praktykował wtedy żadnej konkretnej religii, tylko od okazji po trochu ze wszystkiego; mało wiedział o świecie, a jak się później przekonałem, miał w sobie sporo z łobuza. Nie podobało mu się, że pracując u niego, mieszkam u Bradforda. Miał dom, ale bez mebli, nie mógł mi więc oferować kwatery; dostał jednak dla mnie

miejsce u pana Read, wspomnianego już właściciela domu. Mój kufer i ubrania już przybyły, stąd miałem jak być dla oczu panny Read widokiem szacownym bardziej niż pierwszego razu, gdy mnie widziała na ulicy jedzącego bułkę.

Zacząłem w mieście zawierać znajomości z młodymi ludźmi co lubili czytać i przyjemnie spędzałem z nimi wieczory; pieniądze przynosił mi fach zarówno jak oszczędność i żyło mi się bardzo znośnie; zapominałem o Bostonie jak tylko się dało, i nie chciałem by miejsce mojego pobytu było tam komukolwiek wiadome, z wyjątkiem mojego przyjaciela Collinsa, który znał mój sekret i go dotrzymywał, a ja do niego pisałem. Pewien przypadek posłał mnie jednak z powrotem znacznie wcześniej niż był mój zamiar.

Miałem szwagra, Roberta Holmesa, kapitana łódki kursującej między Bostonem a Delaware. Był swego czasu w Newcastle, czterdzieści mil pod Filadelfią, i tam o mnie usłyszał; napisał mi o przyjaciółach w Bostonie, jak się zmartwili moim nagłym wyjazdem, a zapewniał, mieli wobec mnie dobre intencje i gdybym wrócił, wszystko byłoby jak chcę, na co kładł nacisk ze szczerego serca. Odpisałem i podziękowałem za poradę, wyłożyłem jednak swoje powody do opuszczenia Bostonu w pełni oraz świetle takim, by go przekonać iż nie byłem w błędzie aż tak, jak on kojarzył.

Sir William Keith, gubernator regionu, przebywał w Newcastle i nadarzyło się, kapitan Holmes był w jego towarzystwie kiedy dostał w ręce moją odpowiedź, opowiedział więc o mnie i pokazał list. Gubernator go przeczytał, a zdziwił się, usłyszawszy ile mam lat. Wyglądałem na

obiecującego młodego człowieka, któremu należy się zachęta; drukarze w Filadelfii są marni; gdybym ja tam założył biznes, niezawodnie odniósłbym sukces; on ze swej strony dałby mi publiczne zlecenia i służył wszelką przysługą. Mój szwagier opowiedział mi o tym później w Bostonie; nic o tym jednak jeszcze nie wiedziałem, gdy pewnego dnia pracowaliśmy z Keimerem przy oknie i zobaczyli gubernatora z innym dżentelmanem (okazał się on pułkownikiem French z Newcastle), dobrze ubranych, jak przechodzą ulicę wprost do naszego budynku, a zaraz było ich słychać przy drzwiach.

Keimer natychmiast zbiegł na dół, myśląc że do niego. Gubernator jednak zapytał o mnie, wszedł na górę i z protekcyjną uprzejmością, do jakiej nie byłem nawykły, sprawił mi wiele komplementów; chciał zawrzeć ze mną znajomość; w łagodnym tonie winił, iż nie dałem o sobie znać zaraz po przybyciu, a zapraszał do tawerny, gdzie właśnie siedł z pułkownikiem French próbować, jak powiedział, doskonałej madery. Ja byłem nie tylko trochę zaskoczony, za to Keimer stał jak struty wieprzek. Poszedłem jednak z gubernatorem i pułkownikiem do tawerny, na rogu ulicy Trzeciej, gdzie nad maderą zaproponował mi ustawienie biznesu, wyłożył jakie mam szanse na sukces, a obydwaj z pułkownikiem French zapewniali, zainteresowania zarówno jak wpływów mieli dość, bym dostawał publiczne zamówienia od obydwu administracji. Gdy wątpiłem czy mój ojciec by mnie wsparł, sir William powiedział, da mi do niego list, wyjaśni korzyści, a ufa w swą zdolność ojca przekonać. Wniosek był taki, że wrócę pierwszą łodzią do Bostonu, z listem od gubernatora

do ojca na korzyść sprawy. W międzyczasie zamiar miał pozostawać w tajemnicy, pracowałem więc u Keimera jak zwykle, a gubernator kiedy niekiedy przysyłał po mnie z zaproszeniem na obiad, co uważałem za wielki honor; w rozmowie był zaś tak wyrobiony, przystępny i przyjazny, jak się sobie dało wyobrazić.

Pod koniec kwietnia 1724 roku nadarzyła się okazja małą łódką do Bostonu. Wziąłem od Keimera wolne, niby na wizytę u przyjaciół. Gubernator dał mi do ojca okazały list, gdzie zawarł o mnie wiele rzeczy pochlebnych, mocno polecając projekt założenia przeze mnie biznesu w Filadelfii, jako rzecz co mi musi przynieść majątek. Na zatoce uderzyliśmy w mieliznę i nabawili się w łódce dziury; na szerokiej wodzie głośno się czubili i musieli prawie cały czas pompować, w czym odrobiłem swoje. Dotarliśmy jednak do Bostonu bezpiecznie, w jakieś dwa tygodnie.

Nie było mnie tam wtedy już jakieś siedem miesięcy, a przyjaciele nie mieli o mnie żadnych wieści, bo szwagier Holmes ani jeszcze nie wrócił, ani nie napisał. Moje nieoczekiwane pojawienie się zaskoczyło rodzinę, ale byli zadowoleni i witali mile, z wyjątkiem brata. Poszedłem do niego do drukarni: ubrany lepiej niż kiedykolwiek u niego na służbie, nowy garnitur i elegancja od stóp po głowę, zegarek, a kieszeń uścielana gdzieś z pięcioma szterlingami srebrem. Przyjął mnie niezbyt otwarcie, obejrzał dokoła, i wrócił do pracy.

Czeladnicy byli ciekawi i pytali gdzie jestem, co to za region i jak się mi podoba. Bardzo chwaliłem Filadelfię i moje

szczęśliwe w niej życie, mocno podkreślając, że chcę doń wrócić; a jak jeden zapytał o nasz pieniądz, wyjąłem z kieszeni garść srebra i rozpostarłem przed nimi dłoń, co było dla nich okazem rzadkości, bo w Bostonie mieli walutę papierową. Pokazałem im przy okazji swój zegarek, a na koniec (mój brat był dalej posępny i ponury) dałem im osiem pensów monetą na napitek i sobie poszedłem.

Ta moja wizyta skrajnie go obraziła. Jak matka przyszła do niego po jakimś czasie i mówiła o ugodzie między nami, że jej życzeniem było nas widzieć znów na dobrej stopie, abyśmy żyli w przyszłości jak bracia, powiedział, obraziłem go przed jego ludźmi tak, że nie umiałby mi nigdy zapomnieć, ani wybaczyć. W tym się jednak mylił.

Ojciec przyjął list gubernatora z widocznym zdumieniem, a przez parę dni prawie wcale ze mną o nim nie mówił, natomiast kiedy wrócił kapitan Holmes, ojciec pokazał mu list i zapytał o Keitha, jakim był człowiekiem: dodał od siebie, pewnie mało rozważnym, jeśli chce ustawić w biznesie chłopca któremu do męskiego wieku brakuje trzech lat. Holmes powiedział co mógł na wsparcie projektu, ale dla mojego ojca niestosowność pomysłu była oczywista i koniec końców bez dalszej dyskusji odmówił. Napisał do sir Williama uprzejmy list, dziękując za tak życzliwie oferowany patronat, ale odmówił pomocy przy zakładaniu biznesu, gdyż byłem jego zdaniem do zarządzania takim poważnym interesem za młody, a przygotowania musiały być kosztowne.

Mój przyjaciel i kolega Collins był wówczas urzędnikiem na pocztach; nowe okolice spodobały się mu z mojego

opisu i postanowił też pojechać: a kiedy ja czekałem na decyzję ojca, on ruszył przede mną łodem do Rhode Island, zostawiając książki, pokaźną kolekcję do matematyki i filozofii naturalnej, aby przy płynęły z moimi i ze mną do Nowego Jorku, gdzie zaproponował że na mnie poczeka.

Ojciec, chociaż nie pochwalał propozycji sir Williama, miał jednak w tym przyjemność, że uznał mnie za wartego przychylniej opinii ktoś w moim środowisku tak znaczący, a też w tym, że byłem dość pracowity i zapobiegliwy, aby się w krótkim czasie dobrze uposażyć; nie widząc możliwości zjednać mnie z bratem, zgodził się na mój powrót do Filadelfii, radząc bym się tam do ludzi odnosił z szacunkiem, starał o dobre o sobie zdanie, a wstrzymywał od przymówek i podburzania, do czego uważał, miałem za dużo skłonności; powiedział, stałą pracą, przezornie oszczędzając, mogłem sobie do wieku lat dwudziestu jeden zgromadzić dość środków by zacząć biznes, a jeżeli bym doszedł dość blisko celu, on by pomógł co do reszty. Było to wszystko, co się mi udało osiągnąć, oprócz pomniejszych prezentów na znak jego i matki do mnie miłości, gdy wsiadałem na statek do Nowego Jorku, teraz z ich aprobatą i błogosławieństwem.

Łódź zawijała w Newport na Rhode Island, toteż poszedłem odwiedzić mojego brata Johna, który mieszkał tam po ślubie już parę lat. Przyjął mnie bardzo serdecznie, bo zawsze mnie kochał. Jeden z jego przyjaciół, niejaki Vernon, miał w Pensylwanii do odbioru pewne pieniądze, jakieś trzydzieści pięć funtów gotówką, i chciał abym ja te pieniądze pobrał i zachował, do czasu aż mi da wskazówki gdzie je

wpłacić. Wystawił mi zlecenie. Sprawa ta przydała mi potem sporo niewygody.

Wzięliśmy w Newport parę pasażerów do Nowego Jorku. Były pomiędzy nimi dwie razem w podróży młode kobiety oraz pełna powagi i rozmysłu dama, kwakierka, z pomocnikami. Z grzeczności okazałem jej chęć pomocy przy paru drobiazgach i to, myślę, wzbudziło w niej pewną dozę dobrej woli. Zobaczywszy jak z dnia na dzień rozwija się między mną a owymi młodymi kobietami znajomość, czemu one wyraźnie dawały zachętę, wzięła mnie na stronę i powiedziała: „Młody człowieku, martwię się o ciebie, gdyż nie masz tu ze sobą przyjaciela, a zdajesz się niewiele znać świata i pułapek jakie zastawia na młodość; uwierz mi, to bardzo złe kobiety; widzę to po ich zachowaniu; jeśli się nie będziesz strzec, wciągną cię w jakieś niebezpieczeństwo, a przecież są to osoby tobie obce, stąd radzę ci, z przyjaznej troski o twoje dobro, nie utrzymuj z nimi żadnej znajomości”. A że z początku nie wyglądało na to, bym ja myślał o nich źle jak ona, wymieniła parę rzeczy jakie zaobserwowała i zasłyszała, a które umknęły mojej uwadze, lecz teraz przekonywały o jej racji. Podziękowałem za dobroduszną poradę i obiecałem posłuchać. Kiedy przybyliśmy do Nowego Jorku, owe dwie młode kobiety powiedziały mi gdzie mieszkają i do siebie zaprosiły, ale się wykręciłem. Zrobiłem dobrze: następnego dnia kapitan zauważył w kabinie brak srebrnej łyżeczki i paru innych rzeczy, a wiedząc iż była to para ladacznic, zdobył nakaz przeszukania ich kwatery, znalazł skradzione dobra, i złodziejki zostały ukarane. Takóż, choć

uciekalismy od podwodnej skały, o którą się otarliśmy po drodze, ten unik, pomyślałem, był dla mnie ważniejszy.

W Nowym Jorku znalazłem mojego przyjaciela Collinsa, który tam przybył jakiś czas przede mną. Zналиśmy się od dziecka i razem czytali te same książki. On jednak nade mną przeważał, bo miał na czytanie i naukę więcej czasu, oraz wspaniały talent do matematyki, w której dalece mnie przewyższał. Żyjąc w Bostonie, spędzałem z nim na rozmowie większość wolnego czasu, a był chłopakiem trzeźwym i pracowitym, szanowanym za zmysł do nauki przez paru duchownych i innych dżentelmanów, a zdawał się obiecywać na dobrą osobę. Jednak pod moją nieobecność nabył zwyczaju sączyć brandy i jak się dowiedziałem od niego samego, zarówno jak usłyszałem od innych, upijał się codziennie od swojego przybycia do Nowego Jorku i zachowywał bardzo dziwnie. Uprawiał też hazard i przegrał swoje pieniądze, na mnie więc spadł obowiązek spłacić jego zamieszkanie oraz ponieść część kosztu drogi do Filadelfii i początkowego w niej pobytu, co było dla mnie bardzo niewygodne.

Ówczesny gubernator Nowego Jorku, Burnet (syn biskupa Burneta), usłyszawszy od kapitana że młody człowiek, jeden z pasażerów w podróży, miał wiele książek, zechciał się ze mną zobaczyć. Przyszedłem wedle życzenia, a byłbym zabrał ze sobą Collinsa, jednak nie był trzeźwy. Gubernator potraktował mnie z wielką uprzejmością, pokazał swoją bibliotekę, która była bardzo duża, i długo rozmawialiśmy o książkach i autorach. Był to drugi gubernator

honorujący mnie swoim uznaniem, co chłopcu ubogiemu jak ja sprawiało wielką przyjemność.

Popłynęliśmy dalej do Filadelfii. Otrzymałem po drodze pieniądze Vernona, bez których trudno by nam było dotrzeć do celu podróży. Collins chciał pracować w księgowości, jednak albo wykrywali jego zagłębienie do kieliszka po oddechu, albo po zachowaniu, i chociaż miał jakieś rekomendacje, nie odnosił w swoich staraniach o pracę żadnego sukcesu, a dalej mieszkał i się stołował ze mną w jednym domu, na mój koszt. Wiedząc że mam pieniądze Vernona, ciągle ode mnie pożyczał, obiecując zwrot zaraz po powrocie do biznesu. Z biegiem czasu tyle ode mnie wyciągnął, że martwiłem się na myśl co zrobię, jak dostanę wezwanie do wpłaty.

Dalej pił, o co się czasem kłóciliśmy, bo nawet pod małym wpływem stawał się bardzo zrzędlawy. Kiedyś na Delaware, w łódce z innymi młodymi mężczyznami, odmówił swojej rundki przy wiosłach. „Wiosłujcie za mnie do domu”, powiedział. „Nie będziemy”, powiedziałem ja. „Musicie, albo zostaniecie na wodzie całą noc, jak sobie chcecie”, odparł on. Wtedy odezwali się inni: „Powiosłujmy, co za różnica”? Mnie już jednak i przedtem doprowadził do zgorzknienia więc odmawiałem dalej. Poprzysiągł mnie do wiosłowania przymusić albo wyrzucić za burtę, a jak podchodził po ławeczkach, schwyciłem go pochylonego pod biodro i unosząc, wyrzuciłem głowę w rzekę. Wiedziałem że dobrze pływał, więc się nie martwiłem, a zanim nawet mógł się obrócić i chwycić za burtę, paroma uderzeniami wiosła pchnęliśmy

łódkę poza jego zasięg. Tak raz za razem, gdy się mu udawało zbliżyć, pytaliśmy czy będzie wiosłować i odpychaliśmy łódkę. Gotów był umrzeć ze złości i uparcie odmawiał. Dopiero gdy zobaczyliśmy że się zaczyna męczyć, podciągnęliśmy go i wzięli okapującego wodą do domu, wieczorem. Potem rzadko kiedy padło między mną a nim uprzejme słowo, a kapitan do Indii Zachodnich, poszukujący guwernera dla synów dżentelmana na Barbados, spotkawszy go przypadkiem, zgodził się zabrać. Zostawił mnie obiecując przesłać pierwsze zarobione pieniądze na poczet swojego długu, ale nigdy później nie miałem od niego wiadomości.

Naruszenie pieniędzy Vernona zasługiwałoby na pierwszą wielką poprawkę w moim żywocie, a pokazało iż ojciec niewiele się mylił w swym przekonaniu, że do prowadzenia poważnego biznesu byłem jeszcze za młody. Jednak sir William przeczytał jego list i stwierdził, że ojciec był zbyt ostrożny. Ludzie są bardzo różni; roztropność nie zawsze towarzyszy wiekowi, a młodość nie musi być jej pozbawiona. „Jako że on ci nie pomoże założyć biznesu”, powiedział, „ja sam to zrobię. Zrób mi listę rzeczy do sprowadzenia z Anglii, a ja po nie poślę. Zapłacisz mi, jak będziesz w stanie; jestem zdecydowany mieć tu dobrego drukarza i jestem pewny, że odniesiesz sukces”. Powiedział to w tak serdecznym tonie, że nie miałem najmniejszej wątpliwości co do jego intencji. Utrzymałem ofertę założenia biznesu w Filadelfii do owej pory w sekrecie i tak pozostawało. Gdyby było wiadomo, że polegam na gubernatorze, jakiś przyjaciel, znając go lepiej, może by mi

poradził mu nie ufać; jak później słyszałem, znano go ze swobody w dawaniu obietnic bez zamiaru ich spełnienia. Ja jednak nie ubiegałem się o jego uwagę; skąd miałem podejrzewać w jego bogatej ofercie nieszczerść? Uważałem go za jednego z najlepszych ludzi na świecie.

Przedstawiłem mu wykaz na potrzeby małej drukarni, w mojej rachubie na nie więcej niż sto funtów szterlingów. Spodobał mu się, ale zapytał, czy nie byłoby moim zdaniem korzystnie wybrać się na miejsce, do Anglii, i samemu dobrać czcionki oraz dopilnować żeby wszystko było dobrej jakości. „Wtedy”, mówi, „na miejscu, mógłbyś zawrzeć znajomości i nawiązać korespondencję w księgarstwie oraz artykułach piśmienniczych”. Zgodziłem się, że mogło to mieć zalety. „W takim razie”, mówi, „szykuj się do drogi z Annis”; był to coroczny liniowiec, jedyny owej pory roku między Londynem a Filadelfią. Do wypłynięcia pozostawało jeszcze parę miesięcy, pracowałem więc nadal z Keimerem, trapiąc się o pieniądze które wyciągnął ode mnie Collins i codziennie obawiając, że nadejdą dyspozycje od Vernona, co się jednak nie stało przez jeszcze parę kolejnych lat.

Jak wierzę, zaniechałem wspomnieć iż podczas mojej pierwszej podróży z Bostonu, podczas ciszy koło Block Island nasi ludzie zaczęli łapać dorsza i sporo go sobie z wody wyciągnęli. Do tamtej pory trzymałem się swojego postanowienia, żeby nie jeść produktów zwierzęcych, a zgodnie z moim mistrzem Tryonem, miałem wtedy każdy połów za niesprowokowane morderstwo, gdyż żadna z owych ryb nie miała jak nam robić krzywdy takiej, żeby usprawiedliwiała

rzeź. Wyglądałem sobie na bardzo rozumnego. Jednak uprzednio byłem wielkim miłośnikiem rybnych dań i świeżo z patelni pachniały mi cudownie. Wahałem się jakiś czas między zasadą a skłonnością, dopóki sobie nie wspomniałem, że jak dorsza otworzyć, z żołądka da się wyjąć mniejsze ryby. Pomyślałem wtedy, „Jeżeli wy jedna drugą zjadacie, nie rozumiem, dlaczego by nie jeść was”. Zjadłem więc posiłek z dorsza ze smakiem i od okazji jadam dalej, czasem tylko wracając do diety warzywnej. Jak dobrze jest być istotą rozumną; człowiek może znaleźć bądź i wynaleźć powód dla wszystkiego, co ma umysł robić.

Z Keimerem żyliśmy na dość przyjaznej stopie i w miarę się zgadzaliśmy, przy czym on nic nie podejrzewał z moich planów na własny biznes. Dalej miał w sobie sporo starego entuzjazmu i uwielbiał argumentować. Odbyliśmy więc wiele dyskusji. Zwykłem używać na nim mojej sokratejskiej metody i siać mu w głowie zamęt pytaniami na wygląd odległymi od tematu, do którego stopniowo wracając, wpędzałem go w trudność i sprzeczność tak, że stał się zabawnie ostrożny i rzadko by odpowiedział na jak najbardziej zwykłe i proste pytanie bez zastrzeżenia: „Co zamierzasz z tego wywodzić”? Dało mu to tak wysokie wyobrażenie o moich umiejętnościach, a na sposób tak mylny, że mi na poważnie zaproponował partnerstwo w projekcie założenia nowego wyznaniowego ugrupowania. On by wykladał swoje nauki, a ja byłbym od mieszania szyków oponentom. Kiedy mi zaczął owe nauki wykladać, znalazłem w nich parę niedorzeczności, którym się sprzeciwiłem, chyba że dałby mi samemu się

trochę przyłożyć i wprowadzić parę własnych nauk.

Keimer nosił brodę pełnej długości, bo gdzieś w prawie islamskim mówią, „Nie będziesz nadawać brzegom swej brody odmiennej postaci”. Tak samo jednak zachowywał Siódmy Dzień, szabas, a te dwie sprawy były dla niego wagi absolutnej. Ja nie lubiłem obydwu kwestii, ale zgodziłem się je przyjąć, pod warunkiem że on uzna zakaz produktów zwierzęcych. „Wątpię”, mówi, „by moje zdrowie to zniosło”. Zapewniłem go iż zniesie, i to jak najlepiej. Był zazwyczaj wielkim żarłokiem i obiecywałem sobie nieco zabawy po wyposzczeniu go. Zgodził się spróbować mojego żywienia, o ile bym mu w tym dotrzymywał towarzystwa. Tak uczyniłem i wytrwaliśmy trzy miesiące. Wiktuały przygotowywała nam i przynosiła kobieta z sąsiedztwa, której dałem listę czterdziestu dań na różne pory i okazje, a w żadnym nie było ryby, mięsiwa, czy ptactwa, i kaprys podobał mi się tym bardziej, że był tani, nie więcej niż osiemnaście pensów szterlingiem na tydzień. Od tamtej pory udało się mi dotrzymać paru Wielkich Postów jak najściślej, rzucając codzienne żywienie nagle i bez najmniejszego kłopotu, a tak samo potem post na rzecz codziennej żywności, stąd myślę, jest coś w poradzie aby zmian dokonywać stopniowo, łatwymi krokami. Dieta przychodziła mi z przyjemnością, ale biedny Keimer cierpiał straszliwie, a zmęczony pomysłem, zatęsknił do egipskiego kąska i zamówił pieczoną wieprzowinę. Zaprosił mnie i dwie przyjaciółki na obiad, ale że danie dostarczono na stół przed czasem, nie oparł się pokusie i zjadł wszystko zanim przyszliśmy.

Poczynilem owego czasu pewne starania wobec panny Read. Miałem dla niej sporo uczuć i szacunku, a też powód wierzyć, że ona dla mnie tak samo: ja się jednak wybierałem w daleką podróż i byliśmy bardzo młodzi, trochę tylko ponad osiemnastkę, i jej matka uważała za roztropne zapobiegać naszemu posuwaniu się za daleko, gdyż małżeństwo, o ile miało do niego dojść, byłoby dogodniejsze po moim powrocie, kiedy już bym miał swój oczekiwany biznes. Być może nie uważała moich dążeń za tak dobrze ugruntowane, jak sobie ja wyobrażałem.

Spotykałem się wtedy głównie z Charlesem Osborne, Josephem Watson, oraz Jamesem Ralph, a wszyscy kochali czytać. Dwóch pierwszych pracowało w biurze znanego skryptora i notariusza Charlesa Brogden, a Ralph w biurze u handlowca. Watson był pobożnym i rozsądnym młodym człowiekiem o wielkiej spójności charakteru. Pozostali byli w zasadach religii bardziej ustępliwi, zwłaszcza Ralph, którego przyprawiałem o wątpliwości jak Collinsa, a obydwaj dali mi za to cierpieć. Osborne był rozsądny, zacny, otwarty; uczciwy i uczuciowy wobec przyjaciół, ale krytykant w sprawach literackich. Ralph był bystry, delikatny w manierach i niesamowicie elokwentny; myślę, lepszego mówcy nigdy nie spotkałem. Zarówno Osborne jak Ralph uwielbiali poezję i próbowali w niej sił. Niejeden miły spacer odbyliśmy we czwórkę w niedzielę, po lesie przy Schuylkill, gdzie wzajem sobie czytaliśmy albo omawiali lekturę.

Ralph miał ciągotki do studiów poetyckich, nie wątpiąc iż się mógł stać w poezji wybitny i na niej zarabiać, a mnie-

mał, nawet najlepsi poeci musieli popełniać tyle błędów co on, zaczynając pisać. Osborne go od tego odwodził; zapewniał iż mu do poezji brak zmysłu, a radził nie myśleć o niczym ponad biznes do którego od dziecka go chowano, to jest handel, a choć nie miał własnych produktów, to jego zalety, pracowitość i punktualność, były jego rekomendacją do zatrudnienia w pośrednictwie, gdzie z czasem wypracowałby środki potrzebne do działania samodzielnie. Ja pochwalałem zabawianie się od czasu do czasu poezją dla doskonalenia językowych umiejętności, ale nie więcej.

Względem tego zaproponowano kiedyś, przy następnym spotkaniu każdy przyniesie własną pisemną pracę, byśmy się wzajem podciągali obserwacjami, krytyką oraz korektą. Jako że nam chodziło o język i ekspresję, odrzekliśmy się wszelkich motywów twórczych i przyjęli za zadanie napisać każdy swoją wersję psalmu osiemnastego, który opisuje zstąpienie z Niebios. Zbliżał się czas spotkania, kiedy Ralph do mnie wpierw zajrzał i dał znać, że jego praca już gotowa. Powiedziałem mu, cały czas byłem do owej pory zajęty, a że mało miałem zapału, nic nie zrobiłem. Pokazał mi wtedy swoją wersję do zaopiniowania, a ja w znacznej mierze ją pochwaliłem, bo mi na wygląd miała wielkie zalety. „Widzisz”, mówi on, „Osborne nigdy nie da pochwalić najmniejszej nawet zalety w czymś co ja napisałem, a z czystej zawiści wystąpi z tysiącem krytycznych zastrzeżeń. O ciebie nie jest taki zazdrosny. Chcę żebyś ten tekst wziął i przedstawił jako twój, a ja będę udawał, że nie miałem czasu i nic nie przyniosę. Zobaczmy wtedy, co powie na ten”.

Zgodziłem się i zaraz pracę przepisałem, żeby wyglądała na mój charakter pisma.

Spotkaliśmy się. Odczytano tekst Watsona; były w nim rzeczy piękne, ale też wiele wad. Potem Osborne'a: był znacznie lepszy. Ralph oddał mu sprawiedliwość, zwrócił uwagę na pewne niedostatki, ale pięknu dał aplauz. Jednak sam, powiedział, nie miał niczego. Ja trzymałem się z tyłu i starałem robić wrażenie jakobym szukał wymówki, nie miałem czasu poprawić i tak dalej, lecz żadnej wymówki nie przyjęto, mus to mus. Przeczytano tekst raz i drugi. Watson i Osborne odstąpili od zawodów i dołączyli do aplauzu. Tylko Ralph wysunął parę krytycznych uwag i zaproponował poprawki, ale ja broniłem tekstu w dłoni. Osborne stawiał Ralphowi opór, stwierdził, nie jest krytykiem lepszym niż poetą, na co Ralph się poddał. Jak wracali we dwóch do domu, Osborne wyraził jeszcze silniejsze upodobanie w tym co uważał za mój produkt; w mojej obecności się powstrzymał, rzekł, bo wziąłbym go za pochlebcę. „Któż by sobie wyobrażał”, mówił, „że Franklina stać na taki wyczyn; to obrazowanie, siła wyrazu, płomień pasji! Tekst nawet lepszy niż oryginał! W codziennej rozmowie zdaje się nie mieć takiego doboru słów, waha się i błądzi, a jednak, Boże, jakżeż on pisze!” Przy następnym spotkaniu Ralph wyjawiał zmyłkę i się co nieco z Osborne'a pośmialiśmy.

Ów obrót spraw utwierdził Ralpha w postanowieniu by zostać poetą. Zrobiłem wszystko by go od tego odwieść, ale pisał dalej, póki nie uleczył go Pope. Stał się jednak całkiem dobry prozą. Później opowiem o nim więcej. A ponieważ

mogę nie mieć okazji wspomnieć o dwóch pozostałych, nadmienię tu jedynie, że Watson parę lat potem zmarł mi w ramionach; wiele po nim płakaliśmy, był spośród nas najlepszy. Osborne pojechał do Indii Zachodnich, gdzie się stał znamienitym prawnikiem i zarobił pieniądze, ale młodo umarł. Na serio się z nim umówiłem, że który umrze pierwszy, w miarę możliwości dokona przyjacielskiej wizyty u drugiego i powie jak się sprawy mają w owym od ciała odłączonym stanie. Nie dotrzymał jednak nigdy swojej obietnicy.

Gubernator Keith, zdając się lubić moje towarzystwo, często mnie gościł u siebie w domu, a mówił o ustawieniu w biznesie jako rzeczy pewnej. Miałem zabrać ze sobą listy polecające do kilku z jego przyjaciół oraz list pieniężny na sumę potrzebną do zakupu prasy, czcionek, papieru i tym podobnych. Wyznaczył parę terminów, żebym owe listy odbierał gdy gotowe, ale kiedy przychodziłem, raz za razem podawano mi kolejną, przyszłą datę. Tak sobie postępował aż statek, którego wyruszenie też parę razy przekładano, był gotów wypłynąć. Kiedy przyszedłem do niego się pożegnać i odebrać listy, jego sekretarz, doktor Bard, wyszedł do mnie i powiadomił iż gubernator jest bardzo zajęty pisaniem, ale wybiera się do Newcastle, a dotrze tam przed statkiem i wtedy listy zostaną mi dostarczone.

Ralph, chociaż był żonaty i miał dziecko, zdecydował się mi w tej wyprawie towarzyszyć. Myślano, że chciał nawiązać kontakty na sprzedaż importowanych towarów za prowizją; ja się jednak po jakimś czasie zorientowałem, był

niezadowolony z krewniaków żony i powziął im ją zostawić, nigdy nie wracając. Pożegnawszy się z przyjaciółmi, wymieniłem z panną Read parę obietnic i opuściłem Filadelfię rzeczonym statkiem, a ten zawinął w Newcastle. Gubernator tam był. Jednak gdy przybyłem do niego na kwaterę, jego sekretarz wyszedł do mnie z wieścią w jak najuprzejmiejszym z tonów, iż gubernator się ze mną nie zobaczy, zajęty biznesem najwyższej wagi, ale zamierza wysłać mi listy na pokład; serdecznie życzy dobrej podróży, szybkiego powrotu, i tym podobne. Wróciłem na pokład nieco zmieszany, ale dalej w niego nie wątpiąc.

Tym samym statkiem wybierali się pan Andrew Hamilton, słynny filadelfijski prawnik, wraz z synem, oraz pan Denham, kwakerski handlowiec, a też panowie Onion i Russel, mistrzowie w wyrobach żelaznych z Maryland, a wszyscy oni zajmowali główną kabinę; ja i Ralph musieliśmy się zadowolić pokładem. Nikt na statku nas nie znał i traktowano nas jak zwykle osoby. Jednak pan Hamilton i syn (James, później gubernator) musieli wrócić z Newcastle do Filadelfii, gdzie wzywano ojca do ogromnej opłaty za przechwycony statek. Natomiast tuż przed odpłynięciem przyszedł na pokład pułkownik French i zwracał się do mnie ze znacznym szacunkiem, toteż zaczęto darzyć mnie większą uwagą i zostałem z moim przyjacielem Ralphem zaproszony do kabiny, gdzie teraz było miejsce. Tam się przenieśliśmy.

Rozumiejąc że pułkownik French przyniósł na pokład przesyłki od gubernatora, zapytałem kapitana o listy powierzone mojej trosce. Wszystkie zapakowano razem do pocz-

towej torby, powiedział, i już nie miał jak się do nich dostać, ale powinienem mieć je okazję wyjąć przed lądowaniem w Anglii. Na ów czas mnie to zadowoliło i dalej podróżowaliśmy. Mieliśmy w kabinie rozmowne towarzystwo i żyliśmy niezwykle dobrze, mając oprócz swoich zasoby pana Hamiltona, który obficie się na podróż zaopatrzył. Po drodze zawarłem z panem Denham przyjaźń na całe życie. Pod innymi względami podróż była nieprzyjemna, bo mieliśmy dużo niepogody.

Kiedy dopłynęliśmy do Kanału, kapitan dotrzymał słowa i dał mi sposobność poszukać w torbie listów od gubernatora. Nie znalazłem żadnego na moje imię jako doręczyciela. Wybrałem sześć lub siedem, po charakterze pisma wyglądały na owe mi obiecane, szczególnie jeden skierowany do Basketa, królewskiego drukarza; drugi był do jakiegoś dostawcy materiałów piśmienniczych. Dotarliśmy do Londynu 24 grudnia 1724 roku. Wpierw przyszło mi się spotkać z owym papiernikiem, gdzie powiedziałem że mam list od gubernatora Keitha. „Nie znam takiej osoby”, mówi on, a otwierając list, dodaje, „O! To od Riddlesdena. Niedawno się przekonałem że to skończony łajdak i nie mam zamiaru się z nim zadawać, takż nie będę przyjmować od niego listów”. Wkładając mi list w rękę, odwrócił się na pięcie i zajął obsługą jakiegoś klienta. Zdziwiłem się, że listy nie są od gubernatora. Wspominając i porównując okoliczności, zacząłem wątpić w jego uczciwość. Znalazłem mojego przyjaciela Denhama i otwarcie powiedziałem o całej sprawie. Przybliżył mi w opisie naturę Keitha; stwierdził, nie było najmniejszego

prawdopodobieństwa by jakieś listy dla mnie był napisał, a nikt, spośród ludzi którzy go znali, nie polegał na nim w znikomym nawet stopniu; natomiast roześmiał się na myśl o liście pieniężnym, bo jak powiedział, kredytu to gubernator nie miał. Kiedy się niepokoilem co robić dalej, poradził mi znaleźć pracę w fachu. „Poprawisz się pośród tutejszych drukarzy”, rzekł, „a jak wrócisz do Ameryki, ustawisz się tym korzystniej”.

Obydwaj wiedzieliśmy, tak samo jak papiernik, że mecenas Riddlesden był szelmą. Nieomal kiedyś zrujnował ojca panny Read, namówiwszy do zobowiązania. Teraz z listu wynikało, że przeciwko panu Hamiltonowi kroił się spisek (miał przy płynąć z nami), a Keith brał w nim udział wraz z Riddlesdenem. Denham był przyjacielem Hamiltona i uznał za stosowne się z listem zapoznać. Kiedy Hamilton przybył do Anglii, co się stało niedługo potem, częściowo z niechęci i złej woli wobec Keitha i Riddlesdena, a po części z dobrych intencji wobec samego Hamiltona, spotkałem się z nim i przekazałem list. Podziękował mi serdecznie, bo informacja ta była dla niego istotna, a stał się od owego czasu moim przyjacielem, ku mojej wielkiej, przy okazjach, pomyślności.

Cóż jednak myśleć o gubernatorze co się dopuszcza tak żalosnych sztuczek i karygodnie wpiera biednemu, nieświadomemu chłopcu! Takiego nabrał zwyczaju. Chciał wszystkim dogodzić, a niewiele mogąc dać, rozdawał oskomę. Poza tym był człowiekiem byстрыm i rozsądnym, niczego sobie pisarzem i dobrym gubernatorem, choć może nie dla swych mocodawców, lordów posesjonatów, których zalecenia

czasem zaniedbywał. Za swej administracji przeprowadził kilka najlepszych dla nas przepisów.

Byliśmy z Ralphem nierozłączni. Wynajęliśmy kwatere w Little Britain za trzy szylingi i trzy pensy na tydzień, na tyle mogliśmy sobie pozwolić. On znalazł paru krewnych, ale byli ubodzy i nie mogli mu pomóc. Teraz się mi zwierzył, chce pozostać w Londynie, a do Filadelfii nie zamierza wrócić nigdy. Nie miał pieniędzy, bo wszystko co miał dryl do kabzy odłożyć, poszło na podróż. Ja miałem piętnaście pistoli, pożyczał więc od czasu do czasu ode mnie na życie, by przetrwać w czas jak poszukiwał pracy.

Wpierw powziął dołączyć do teatru, wierząc w swoje aktorskie zdolności; jednak Wilkes, gdzie się zgłosił, otwarcie mu poradził o tym zatrudnieniu nie myśleć, bo nie było możliwe by odniósł w nim sukces. Następnie zgłosił się do Robertsa, wydawcy na Paternoster Row, oferując cotygodniowe artykuły w stylu *Spektatora*, na jakichś takich warunkach, że ich Roberts nie przyjął. Potem powziął iść w najem dorywczo, jako kopista dla papierników i prawników z okolic Temple, ale nie mógł znaleźć żadnego wolnego miejsca.

Ja zaraz znalazłem pracę u Palmera, wtedy słynnego drukarza przy Bartholomew Close, i zostałem niemal rok. Byłem wcale sobie pracowity, ale dużą część zarobku wydawałem z Ralphem, na teatr oraz inne rozrywki. Wyeksploatowaliśmy we dwóch wszystkie moje pistole i wiedli teraz żywot od ręki do ust. On zdawał się już nie pamiętać o żonie i dziecku, a ja, stopniowo, o moich obiet-

nicach dla panny Read, do której napisałem nie więcej niż raz, a to by jej dać znać że prędko nie należało się mnie spodziewać. Zasługiwałyoby to na kolejną wielką poprawkę w moim życiu; nie popełniłbym tego błędu, mając żyć ponownie. Było jednak faktem, że nasze wydatki nie dawały mi zaoszczędzić na podróż powrotną.

U Palmera zatrudniono mnie do drugiego wydania „Religii natury” Wollastona. Niektóre z jego wywodów nie wyglądały mi na dobrze ugruntowane, toteż napisałem krótki artykuł o metafizyce i zawarłem uwagi. Nazwałem go „Dysertacja o wolności i potrzebie, przyjemności i bólu”. Opatrzyłem dedykacją dla mojego przyjaciela Ralpha i wydrukowałem parę kopii. Dało to okazję by pan Palmer zwrócił na mnie większą uwagę jako młodzieńca o pewnym umyśle, choć mi poważnie przyganił za pryncypia pamfletu, gdyż mu wyglądały na marne. Wydrukowanie pamfletu było kolejnym błędem.

Kiedy mieszkałem w Little Britain, zawarłem znajomość z niejakim Wilcoxem, księgarzem, którego sklep był tuż obok. Miał olbrzymią kolekcję używanych książek. Wypożyczalnie nie były jeszcze wtedy znane, ale się ugodziliśmy na jakichś rozsądnych warunkach, tyle że ich już teraz nie pamiętam, abym brał, czytał i zwracał dowolne książki. Ceniłem to jako wielką korzyść i robiłem zeń użytek jak się dało.

Mój pamflet wpadł jakoś w ręce niejakiego Lyonsa, lekarza i autora książki pod tytułem „Na niezawodność ludzkiego osądu”, co się stało okazją do naszej znajomości;

darzył mnie sporym uznaniem, często zapraszał do rozmowy na podobne tematy, zabierał do Horns, piwiarni na Lane w Cheapside, oraz przedstawił doktorowi Mandeville, autorowi „Pszczelej baśni”, który miał tam klub i był duszą towarzystwa, jednym z najbardziej dowcipnych i interesujących kompanów. Lyons przedstawił mnie także doktorowi Pemberton; ów bywał w kawiarni Batsona i obiecał dać mi szansę spotkać się przy jakiejś okazji z sir Izaakiem Newtonem, czego chciałem ogromnie, lecz nigdy się to nie stało.

Przyniosłem parę ciekawostek, przede wszystkim puzderko z takiego azbestu, co się oczyszcza w ogniu. Sir Hans Sloane słyszał o tym materiale, przyszedł mnie zobaczyć i zaprosił do swego domu przy Bloomsbury Square, gdzie pokazał mi swoje ciekawostki i przekonał, abym mu pozwolił dołożyć puzderko do kolekcji, za co mi sownie zapłacił.

W naszym budynku miała też kwaterę młoda kobieta, modystka, myślę, miała sklep w Cloisters. Była dobrze wychowana, rozsądna i żwawa, bardzo przyjemna w rozmowie. Ralph czytywał jej wieczorem sztuki teatralne, weszli w zażyłość, ona wynajęła inne mieszkanie, a on poszedł za nią. Przez jakiś czas mieszkali razem, ale że on dalej nie miał pracy i jej dochód nie wystarczał na utrzymanie obojga wraz z jej dzieckiem, zdecydował się wyjechać z Londynu i spróbować pracy w wiejskiej szkole; nadawał się, myślał, bo miał znakomity charakter pisma i był mistrzem w arytmetyce oraz księgowości. Zdawało się mu to jednak zajęciem poniżej postury, a pewny że przyszłość niesie lepszy los i nie będzie

chciał aby wiadano o niegdysiejszym skromnym zatrudnieniu, zmienił imię, a mnie uhonorował, przyjmując moje. Wkrótce dostałem od niego list, donoszący iż się osiedlił w małej wiosce, jak myślę w Berkshire, gdzie uczył z dziesięciu czy dwunastu chłopców czytać i pisać, od każdego po angielskich sześć pensów na tydzień; polecał panią T mojej opiece i prosił by do niego pisać adresując na pana Franklina, nauczyciela w takiej a takiej miejscowości.

Dalej często pisał, przysyłając duże próbki epickiego poematu który wtedy układał, a ode mnie chciał uwag i korekty. Tych mu od czasu do czasu udzieliłem, ale podjąłem się raczej odwieść go od kontynuacji. Ukazała się wtedy jedna z „Satyr” Younga. Przepisałem i przesłałem jej większą część, gdzie Young rzucał silne światło na błazeństwo oddawania się Muzom w nadziei na ich pomoc. Wszystko na próżno. Karty z poematem dalej przychodziły w każdym liście. W międzyczasie pani T, przez niego straciwszy przyjaciół oraz biznes, często bywała w niedoli, stąd po mnie posyłała i pożyczła co tylko mogłem dać. Jej towarzystwo coraz bardziej mi się podobało, a ponieważ nie obowiązywały mnie wtedy przesłanki żadnej religii i uważałem siebie za osobę dla niej ważną, spróbowałem poufałości (kolejny błąd), co odrzuciła ze słuszną wzdargą i poinformowała o moim zachowaniu Ralpha. To mnie z nim podzieliło; wrócił do Londynu i dał znać iż jak rozumie, unieważniłem tym samym wszelkie jego wobec mnie zobowiązania. Takóż nie miałem się co po nim spodziewać zwrotu pieniędzy jakie mu pożyczyłem, czy za niego założyłem. Wtedy nie miało to i tak większego skutku,

bo i tak zupełnie nie był w stanie nic zapłacić. A ja, tracąc tę przyjaźń, poczułem ulgę jak od ciężaru. Zacząłem myśleć o pieniądzach na przyszłość, a spodziewając się lepszych warunków zatrudnienia, pozostawiłem Palmera na rzecz Wattsa, przy Lincoln's Inn Fields, jeszcze większej drukarni. Tu zostałem do końca pobytu w Londynie.

Zaraz po przyjęciu zabrałem się za drukarską prasę, mniemając, brak mi było pracy mięśni do jakiej nawykłem w Ameryce, gdzie przy prasie układało się też czcionki. Piłem tylko wodę; inni pracownicy, prawie pięćdziesięciu, pochłaniali olbrzymie ilości piwa. Zdarzało się, nosiłem schodami w górę i dół duże kaszty, po jednej w każdej ręce, kiedy inni może jedną w obydwu. Dziwiło ich przy takich, jak i paru innych okazjach, że „Wodny Amerykanin”, jak mnie nazywali, był *mocniejszy* od nich, a oni pili *mocne* piwo! Napitku dostarczał chłopak z piwiarni, który doglądał zamówień. Mój towarzysz przy prasie pił codziennie pół kwarty piwa przed śniadaniem, kolejne pół przy śniadaniu, z chlebem i serem, następne między śniadaniem a obiadem, kolejne do obiadu, jeszcze pół po południu, około szóstej, oraz po ukończeniu pracy. Postrzegałem to jako wzgardy godny zwyczaj. On jednak uważał, trzeba pić *mocne* piwo, żeby być *mocnym* przy pracy. Podjąłem się go przekonać, iż piwo było zdolne wzmacniać ciało jedynie w proporcji do jęczmiennego ziarna czy mączki rozpuszczonych w wodzie, z czego piwo robiono, a mąki było więcej w chlebie za jednego pensa; takóŜ, gdyby jadł chleb z pół kwarty wody, dałoby mu to więcej siły niż cała kwarta piwa. On pił jednak dalej, a co sobotę musiał płacić za

ów otumaniający trunek cztery czy pięć szylingów z wypłaty; ja byłem wolny od takiego wydatku. Tak oto owe biedne czorty w drukarni same się pozbawiały środków.

Po paru tygodniach Watts zechciał mnie w zecerni; zostawiłem preserów, a zecerzy zaczęli się domagać kolejnego *bien venu* czyli wkupnego, w wysokości pięciu szylingów. Był to moim zdaniem ucisk, bo już wpłaciłem piętro niżej. Majster też tak uważał i zakazał kosztu. Odstawiałem tak od reszty przez dwa lub trzy tygodnie, za co odsądzono mnie od wspólnoty i wyrządzono wiele drobnej osobistej szkody, jak mieszanie czcionek, przestawianie stron czy tekstu i tym podobne, do czego wystarczyło, że nie było mnie w pokoju przez chwilę, a obwiniano „ducha kapliczki”; mówili, zawsze nawiedza tych, co ich nie przyjęto wedle reguł; także pomimo ochrony przez majstra poczułem się zmuszony wpłacić, przekonany że nie byłoby mądrze mieć kiepskie relacje z tymi, z którymi się cały czas przebywa.

Teraz byłem z nimi na równej stopie i wkrótce się mi udało zyskać na nich wart uznania wpływ. Podsunąłem pewne rozumne zmiany w prawach kapliczki, a wdrożyłem bez względu na opozycję. Za moim przykładem, większość porzuciła otumaniające śniadanie z piwa, chleba i sera, jak zobaczyli że mogą dostawać z sąsiedniego domu garniec gorącej kaszy oprószonej pieprzem, z posypką z chleba oraz rozpuszczonym masłem, a to za cenę pół kwarty piwa, czyli trzy razy pół pensa. Było to śniadanie i dogodniejsze i tańsze, a pozwalało ponadto zachować jasność umysłu. Owym co nadal cały dzień sączyli piwo, często kończył się kredyt w

piwiarni i robili ze mną interes, jak to mówili, *kiedy ich jasność opuszczała*. W sobotę wieczorem miałem baczne oko na wypłaty i zbierałem od nich wyłożone pieniądze, a zdarzało się mi założyć za nich na rachunek nawet jakieś trzydzieści szylingów w tydzień. Byłem dobrym humorystą, takim wesołym satyrykiem w słówkach, co wspierało moją pozycję w towarzystwie. W pracy byłem zawsze obecny (nie urządziłem sobie nigdy „świętego poniedziałku”) i to lubił majster, a moja niezwykła prędkość w zecerstwie dawała mi wszystkie prace ekspresowe, a te były ogółem lepiej płacone. Miałem się więc teraz bardzo dobrze.

Moja kwatera w Little Britain była zbyt odległa, znalazłem więc inną na Duke Street, naprzeciw Romish Chapel. Dom stał o dwa budynki obok, przy włoskiej hali towarowej. Prowadziła go wdowa; miała córkę, służącą oraz czeladnika, który doglądał też owej hali, a mieszkał gdzieś indziej. Wysłała na moją dotychczasową stancję zapytanie, jakiego byłem charakteru, a zgodziła się przyjąć za taką samą cenę, 3 szylingi 6 pensów na tydzień; rzekła, taniej niż w jej cenniku, gdyż po mężczyźnie na kwaterze spodziewała się więcej bezpieczeństwa. Była to starsza kobieta, wychowana na protestantkę córka duchownego; przeszła na religię katolicką pod wpływem męża, którego pamięć bardzo szanowała. Żyła przedtem dużo pośród ludzi o dystynkcjach i знаła o nich tysiące opowieści sięgających wstecz po czasy Karola Drugiego. Miała od podagry słabowite kolana i rzadko kiedy się ruszała ze swojego pokoju, stąd czasem życzyła sobie by ją ktoś odwiedził; ja bardzo lubiłem jej towarzystwo, było więc

pewne iż spędzę z nią wieczór, o ile mnie zaprosi. Na kolację mieliśmy tylko po pół porcji sardeli z pajdką chleba z masłem i jakieś ćwierć kwarty piwa pospołu, ale atrakcją było z nią rozmawiać. Ja zawsze przestrzegałem przyzwoitej pory i pilnowałem się być jej rodzinie jak najmniej uciążliwy, toteż nie chciała się ze mną rozstać; kiedy jej powiedziałem o kwaterze jeszcze bliżej miejsca pracy, za dwa szylingi na tydzień, co mi robiło różnicę, gdyż byłem zdecydowany oszczędzać, poprosiła abym o tym nie myślał, bo mi te dwa szylingi na przyszłość ujmie z ceny. Pozostałem więc u niej za jednego szylinga i sześć pensów do końca pobytu w Londynie.

Na poddaszu mieszkała u niej panna w wieku lat siedemdziesięciu, jak najbardziej w odosobnieniu, o której gospodyni zdała mi następującą relację: była wyznania rzymskokatolickiego, w młodym wieku wysłano ją za granicę i zamieszkała w klasztorze, aby się stać zakonnicą; nie podobało się jej jednak w owym kraju i wróciła do Anglii, gdzie nie było odpowiedniego klasztoru, także złożyła przysięgę żyć jak zakonnica, na ile okoliczności pozwolą. Oddała cały majątek na cele charytatywne, zostawiając sobie jedynie dwanaście funtów na roczne utrzymanie, z czego jeszcze dużo dawała na dobroczynność, żyjąc kaszą na wodzie i bez ogrzewania, chyba żeby gotować. Mieszkała na owym poddaszu już wiele lat, a dawali jej tam być za darmo kolejni na piętrach niżej katoliccy lokatorzy, mając jej tam pozostawanie za błogosławieństwo. Ksiądz codziennie przychodził ją wypowiadać. Gospodyni mówi, „Zapytałam, jak ona, przy jej stylu życia, może mieć tyle pracy dla spowiednika”. „Och”,

odpowiedziała, „nie da się uniknąć próżnych myśli”. Raz mnie u siebie przyjęła. Była radosna i uprzejma, miła w rozmowie. Pokój był czysty, ale nie było w nim wyposażenia innego niż materac, stół z krucyfiksem i książką, oraz stołek, który mi podała abym usiadł, a nad kominkiem znajdował się obraz świętej Weroniki okazującej chustę z cudownym zarysem krwawiącej twarzy Chrystusa, co mi wyjaśniła z wielką powagą. Miała bladą cerę, jednak nigdy nie chorowała, co mi było kolejnym przykładem iż mały dochód wystarcza by zachować życie i zdrowie.

W drukarni Wattsa zawarłem znajomość z bystrym młodym człowiekiem, niejakiem Wygate, który, mając za-
możnych krewnych, lepiej był wyedukowany niż większość drukarzy; całkiem znośny łacinnik, mówił też po francusku i kochał czytać. Uczyłem jego oraz jego przyjaciela pływać; szybko się stali dobrymi pływakami, już po dwóch razach nad rzeką. Przedstawili mnie dwóm dżentelmanom ze wsi, podróżującym do Chelsea łodzią zobaczyć College i ciekawostki Don Saltero. W drodze powrotnej, na życzenie towarzystwa, którego ciekawość podsycał Wygate, zrzuciłem odzież, wskoczyłem do rzeki i popłynąłem od okolic Chelsea do Blackfriar, dokonując pod wodą i na niej pływackich wyczynów, a te były nowością, dziwiły i się podobały.

Lubowałem się w tych ćwiczeniach od dzieciństwa, opanowywałem i praktykowałem wszystkie ruchy i pozycje Thevenota, dodałem parę własnych, starając się ukształtować ruch wprawny, wyrobiony i efektywny. Ową okazję wykorzystałem by je wszystkie pokazać w towarzystwie i pochle-

biał mi jego podziw. Wygate chciał się ich nauczyć, a jego przywiązanie do mnie rosło także dzięki podobieństwu naszych naukowych zainteresowań. Przez jakiś czas ponawiał propozycję podróży razem po całej Europie, moglibyśmy się utrzymywać z pracy w zawodzie. Raz byłem nawet skłonny. Kiedy jednak wspomniałem o tym mojemu przyjacielowi Denhamowi, z którym często spędzałem wolną godzinkę, on mnie od tego odwiódł, radząc myśleć tylko o powrocie do Pensylwanii, co sam właśnie zamierzał uczynić.

Muszę tu napisać o jednej z cech charakteru tego dobrego człowieka. Miał przedtem biznes w Bristolu, ale popadł względem jakiejś liczby ludzi w dług i wybrał się do Ameryki. Tam, dzięki ciężkiej pracy w handlu dorobił się w parę lat pokaźnego majątku. Przyłynął do Anglii ze mną na jednym statku, a zaprosił swoich dawnych wierzycieli na towarzyskie spotkanie, gdzie podziękował za wyrozumiałość jaką go obdarzyli, a kiedy się nie spodziewali niczego prócz poczęstunku, przy pierwszym daniu każdy znalazł pod talerzem zlecenie bankowe na pełną sumę pozostającego do spłaty długu, z procentem.

Teraz, powiedział, chce wracać do Filadelfii, a spodziewa się ze sobą zabrać sporą ilość towarów, w celu otworzenia sklepu. zaproponował, weźmie mnie na biuralistę, do prowadzenia księgowości, w czym by mnie wyszkolił, abym przepisywał jego listy i doglądał sklepu. Jak tylko się zapoznam z handlem, dodał, da mi awans i pośle z ładunkiem mąki, chleba i innych produktów do Indii Zachodnich, a da też prowizje od innych intratnych towarów,